

CI, KTÓRYCH ZNAŁEM.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

Aleksander Bolesław Brzostowski.

CI, KTÓRYCH ZNAŁEM.

Garść luźnych wspomnień, opisów i wrażeń.



WARSZAWA

Druk Ed. Nicz i S-ka Nowy-Świat 70.

Tel. Nr 27-73.



CM 313518

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 125 /2011/ CM

Słówko od autora.

„Ci, których znałem“: Ujejski, Goszczyński, Groza, Ordon... Początek to zaledwie drogich tych imion łańcucha. Boć wszakże w życiu znało się ich tylu!... A tylu już z nich, och! tylu—legło snem nieprzespanym... Tem droższe są dla piszącego *osobiste* o nich wspomnienia. Ileż to ich w mej duszy budzi się na dźwięk nazwisk: Kraszewski, Bielowski, Chmielowski, Estreicher, Sowiński, Sabowski, Strutyński, Wojciech Dzieduszycki, Giller, Pług, Romanowicz, Gawalewicz, Kantecki i tylu, tylu innych, których znałem niegdyś bliżej lub bardzo nawet blisko. A iluż się to znało żyjących jeszcze dotąd, że wspomnę tu tylko: Małeckiego, Łozińskiego, Krechowieckiego, Smolkę, Kallenbacha, Belzę, Rawitę, Bartoszewicza, Dunikowskiego itd. itd., nie mówiąc już o wielu *warszawskich* uczonych, literatach, artystach i działaczach społecznych. Byłoby więc o kim i o czem się rozpisać. Autor też tych kartek zamierzał to na razie i rozpoczął już był nawet od

„Wspomnień o Kraszewskim“ (Lwów, 1897), do którego w swym czasie los szczęśliwy go zbliżył. Niestety. Pamiętnik ów jednak o nieodżałowanym tym mężu, jak i nader luźne wspomnienia niniejsze o kilku naszych poetach, tak dalece nie zadawają autora, że niema on chęci snuć tych wspomnień dalej. Lecz co się już raz nakreśliło—niech idzie w świat; niech idzie w świat, choć ułomne, by przypomnieć mu tych, o których, bądź już zapomniano zupełnie (Ordon, Groza), bądź się jeszcze pamięta, ale pamięta za mało (Goszczyński, Ujejski)...

Co do mnie, jakikolwiek padnie wyrok na garstkę tych dorywczych wspomnień — przyjmę go z poddaniem.

Trudno!...

Nie roszczę one zresztą żadnych pretensyj, nawet do nazwy „sylwetek“ tych poetów. Są to sobie poprostu jak najzwyklejsze tylko, choć gorąco nieraz odczute, opowiadania człowieka, który znał niegdyś, kochał i podziwiał nie jedną ze świetnych gwiazd naszej literatury, nie mogąc „śmiesznym“ tym uczuciom oprzeć się i na starość. Co wszakże on ma począć, gdy takim właśnie, a nie innym, stworzyła go natura?

Niemądłą snąć niekiedy bywa nawet i—ona...

KORNEL UJEJSKI.

Do najmilszych dla mnie wspomnień z czasów mej młodości i pobytu przed trzydziestu kilku laty we Lwowie—należy niewątpliwie znajomość moja z Kornelem Ujejskim. Stosunki me z nim jednak, nie mogły być oczywiście, ani zbyt poufałe, ani zbyt ściśle... Zarówno jego wiek, jak i niezwykle wysokie jego stanowisko, jakie zajmował w literaturze i społeczeństwie, mimo nadzwyczajnej jego przystępności, niejednego z nas, młodych, onieśmiewały aż do zbytku. Stąd, zdala od niego najczęściej trzymaliśmy się wówczas.

Do wyjątków w tym względzie i najbliższych zarazem lwowskich jego satelitów należeli jedynie, pewni siebie zawsze: Władysław Bełza i Władysław Ordon. Obaj niepospolicie utalentowani, obaj poeci sami, obaj nadzwyczaj śmiali, wymowni, dowcipni, pełni najrozmaitszych zalet towarzyskich — nie dziw, że i wobec prawdziwych znakomitości nie krępowali się

bynajmniej, zwłaszcza, że i sami zaczęli już nabierać pewnych praw do tej nazwy...

Co do mnie, który i dziś, (a tembardziej wówczas) nie mogę do niczego najmniejszych rościć pretensyj, co do mnie, nie dziw, że starałem się zawsze, choćby z tych jeno względów, nie narzucać się nikomu. Ode mnie tylko, o ile pomnę, wyszła inicjatywa do pewnego uczczenia przez młodzież lwowską tego, tak znakomitego, przedstawiciela epoki romantyzmu, a towarzysza niegdyś i druha wielkiej pamięci Juliusza Słowackiego.

Pragnę więc jedynie opowiedzieć o kilku prawdziwie podniosłych chwilach, które, dzięki temu mistrzowi słowa, przeżyłem w owych czasach, a które zaliczam do najbardziej promiennych w epoce mej młodości...

Ujrzałem go po raz pierwszy—28 listopada 1870 roku, we Lwowie, na wieczorze literackim, w sali ratuszowej miejskiej, poświęconym pamięci Adama Mickiewicza, przez Czytelnię akademicką lwowską, która bodaj, że i dotychczas urządza je rok rocznie w tymże samym dniu i miesiącu, jako w rocznicę jego zgonu.

Ale źle się wyraziłem, że w dniu tym po raz pierwszy ujrzałem Ujejskiego. Nietylko go *ujrzałem*, lecz i *słyszałem* wówczas. A słyszałem, gdy uproszony przez młodzież, w dniu tym właśnie przemawiał do niej publicznie.

Zaledwie, że wstąpił na trybunę, gdy wśród sali, przepelnionej publicznością, rozległa się naraz prawdziwa burza długo niemilkających, szalonych, entuzjastycznych oklasków...

Ukazał się mężczyzna w pełnej sile wieku, lat wówczas najwyżej około pięćdziesięciu, z niewielkimi wąsami i hiszpanką, o energicznej, marsowej nieco twarzy, o pięknem, wyniosłem czole i palającym w tej chwili spojrzeniu, a całą swą postać przypominający to orła, to lwa na przemiany.

Raz jeszcze tylko widziałem go później wyglądającego tak samo.

Było to w Strzeleckim ogrodzie lwowskim, podczas bankietu, wydanego przez miasto, na uczczenie zjazdu we Lwowie Krakowiaków, Ślązaków i Poznańczyków. Zebrani byliśmy wszyscy przy kilkudziesięciu ogromnych stołach. Przemawiał wówczas Smolka, przemawiał Ziemiałkowski, Zyblikiewicz, Kazimierz Kantak, Franciszek Dobrowolski, dr. Ferdynand Weigel, Paweł Stalmach, Tadeusz Romanowicz, Jan Dobrzański, Platon Kostecki, Władysław Belza i wielu, wielu innych. Milczał tylko Ujejski. Wypadek zrządził, że siedziałem właśnie tuż naprzeciw niego, a obok mnie Władysław Sabowski (Wołody Skiba) i Henryk Rewakowicz. Obaj krótkowidze i obaj cokolwiek *cięci*. Wtem słyszę jak Sabowski, jaskając się trochę (co zresztą nigdy mu nie zdarzało się gdy był w zupełnie normalnym stanie), pyta Rewakowicza:

— A... a któż to siedzi tam, na... naprzeciw nas?

— Gdzie? co? Nie... nie widzę nic...

Zasłyszawszy tę ich rozmowę, odzywam się dość głośno:

— Toż przecie Kornel Ujejski!

Ledwie jednak domówił tych słów, woła ktoś inny:

— Słyszycie?! To Kornel Ujejski!

A wykrzyknął to tak głośno, że mimo panującego wciąż gwaru, posłyszało go kilku, w pobliżu nas równie siedzących Poznańczyków.

— Gdzie? gdzie? — zaczęto ze wszech stron dopytywać się ciekawie.

— Tam! pod tem drzewem! — wskazałem im ręką.

Wieść, że Kornel Ujejski znajduje się także w liczbie zgromadzonych, jak iskra elektryczna obleciała w mgnieniu oka, Poznańczyków szczególnie.

I naraz stało się coś dziwnego. Na dźwięk tego nazwiska, ucichło przez chwilę wszystko, a wślad za tem wybuchł nagle, najmniej z kilkuset silnych piersi, grzmiący jak grom, potężny jak kanonada, ognisty jak lawa, jeden nieustanny okrzyk:

— Kornel, Kornel niech mówi!

Spojrzałem w stronę Ujejskiego. Siedział przed chwilą z opartą na rękę głową i zdawał się być nawet głęboko zadumany. Usłyszawszy dopiero swe imię i skierowany ku sobie okrzyk — zerwał się nagle z miejsca. Twarz mu zapalała niezwykłym jakimś blaskiem, oczy zaświeciły fosforycznie. Wskoczył na stojącą obok ławę, a gdy niebawem ścichły dokoła okrzyki, wygłosił niespodzianie prawdziwie wspaniałą improwizacyę na cześć Wielkopolan, rozpoczynając ją od słów:

„Każą mi bracia toast wznieść —

Więc staję!

Nad wszystkie polskie kraje,

Tej ziemi cześć!

Tej ziemi cześć i chwała,

Co białe orły wydała!

Orłowy lot — to w niebo i słońce,
 Białość — to czystość ducha i prostota...
 Polacy! Myśmy tych potęg obrońcy!
 To naszych dziejów robotal...

.

Niestety... Nie pomnę dalej. Dość, że mówił tak długo, mówił z niekłamanem wzruszeniem i ogniem.

Takim go też ujrzałem i w ów pamiętny dla mnie dzień 28 listopada 1870 r. Nawiazawszy rzecz do obchodu rocznicy zgonu Mickiewicza, wskazywał zebranej młodzieży, do jakich przedewszystkiem winna dążyć ideałów i celów. Niepodobna mi po tylu latach powtórzyć, choćby w streszczeniu, tej porywającej przemowy. Było w niej coś, co jak i w innych jego mowach, przypominało mocno — Wiktora Hugo. Te same urywane, a krótkie zwykłe zdania, ta sama głębia myśli, ta sama świetność porównań i stylu. Niezwykły ów dar słowa, który w tak wysokim stopniu posiadał Ujejski, pomni jeszcze wielu. Świadczy o nim zresztą —choć do pewnego stopnia przynajmniej, i skromna owa książeczka, nosząca tytuł: „Żywe słowa Jeremiego”...

A jednak mimo świetnego tego daru, wołał on w jednym z przepięknych swych „dytyrambów“:

„Daj mi, mój Ojcze, wymowę!
 Język płomienny spuść na moją głowę,
 Żarzącym węglem usta oczyść moje,
 Otwórz, jak złote podwoje!
 Bym odpowiedział złożonej przysiędze,
 Że jeśli mam przed ludem stawać—to w potędze!
 Że pójdą, moje pieśni, jak me życie całe,
 Ojczyźnie na pożytek, a Tobie na chwałę.

Poświęcił mnie na loty, nie do niskich chodów,
 Mój naród, najorlejszy ze wszystkich narodów;
 A dzisiaj mi urąga nie jeden płaz smoczy,
 Gdy me strudzone skrzydło ku ziemi się stoczy...

On wie, mój dobry naród, że ja milczeć wolę,
 Niżbym miał senną pieśnią cieszyć Jego bole,
 Lub jak przekupień kunsztu—i barwy i blaski
 Za marne rąk próżniaczych sprzedawać oklaski;
 Tembardziej, gdy cierpiący w zwątpieniu się łamię,
 To nie stawam na palcach, natchnienia nie kłamię;
 Wolę, by powiedziano, że mrę w niedołęstwie,
 Niżbym miał gorszyć lud mój przy udanem męstwie.

Ty słyszysz, Panie, cichy ruch atomów,
 Gdy pragną zlać się w kształt globu;
 Słyszysz kipienie lawy, wstającej z grobu,

Nim przez wyłomów

Rozdarte wargi

W płomienne wybuchnie skargi.

Każdy jęk mego ludu rachujesz,

Słyszysz i czujesz!

Słyszysz i czujesz

Śpiewny żal ptaka,

Westchnienie robaka,

I szeleszczący bez rosy wrzos...

I ten mój głos”.

Co do nas, młodych, zbytecznemby było upewniać, jak potężne, jak iście elektryzujące wrażenie wywierała na nas zwykle każda jego przemowa. Nie wszyscy je wszakże odczuwali jednako. Były i będą zawsze, niskie, poziome, ślimacze dusze, dla których wyłącznym ideałem i celem pozostanie do końca handlarska tylko pogoń — za guldenem lub rublem!... A takich, cóż mogą obchodzić jakieś tam podnioślejsze ideały i cele ludzkości?!

Tych zdziwi to zapewne, gdy powiem, że przyszedłszy nazajutrz do lwowskiej *Czytelni Akademickiej* (której, jako słuchacz uniwersytetu, byłem wówczas członkiem), zastałem właśnie kółko gorętszej młodzieży, rozprawiającej z entuzjazmem o wczorajszej mowie Ujejskiego, jak i o tem zarazem, w jakiby sposób podziękować mu za nią...

— Ba! Niedość podziękować—wołał ówczesny prezes Czytelni, Ksawery Boczarski ¹⁾, ale potrzeba koniecznie podziękować mu *publicznie*, jak publicznem było przemówienie jego do nas...

— Naturalnie! oczywiście! niewątpliwie!—dało się słyszeć kilka naraz głosów.

— Przychylam się i ja do wniosku kolegi prezesa—odezwał się z powagą, najstarszy zda się między nami, a milczący dotychczas Romuald Starkel ²⁾.—Sądziłbym tylko, że należałoby Ujejskiemu, jako poecie, podziękować wierszem...

— Wybornie! doskonale! — zawołał Bolesław Spausta ³⁾. — Mamy tu w tej chwili aż dwóch kochanków muz i synów Apollina: kolegę Czerwieskiego i kolegę Brzostowskiego. Niech więc z nich który kropnie odę do Kornela!

— Wolne żarty, kolego!—rzekłem, nieco obrażony. — Ani ja nie roszczę najmniejszych pretensyj do jakiegś tam paranteli z muzami i Apolinem, ani

¹⁾ Zbyt wcześnie zmarły autor kilku rozpraw historycznych.

²⁾ Późniejszy pedagog, literat i publicysta galicyjski, młodszy brat bardziej znanego Juliusza.

³⁾ Zdolny dziennikarz lwowski.

nie mogę iść w najmniejsze porównanie z kolegą Czerwieńskim.

— Cóż to znów koledze zebrało się na taką skromność?! — zapytał z ironią Bolesław Czerwieński. — A przecież kolega więcej nawet, niż ja dotychczas, nabazgrałeś wierszydeł!

— Gdyby nawet i tak było — odparłem — o czym zresztą wątpię, to jeszcze nie racya, abym mógł równać się z kolegą. Nie liczba przecież, ale *jakość* stanowi o wartości utworów piszącego!

— Dajcież temu pokój! — zawołał Boczarski. — Nie o to tu chodzi. Piszcie najlepiej oha, a czyj wiersz okaże się piękniejszy, ten postaramy się wydrukować.

— Na to — odezwałem się znowu — nie zgadzam się stanowczo!

— A to dlaczego? — zapytano zewsząd.

— Dla tej prostej przyczyny, że nie czuję się zdolnym do ubiegania się w tym względzie z kolegą Czerwieńskim.

— I znów jezuicka ta skromność! — mruknął Czerwieński.

— No, to wiecież co? — zawołał ktoś, śmiejąc się — ciągnijcie najlepiej węzelek! Kto go wyciągnie, *ten* będzie musiał w imieniu naszej Czytelni podziękować wierszem Ujejskiemu. A gdyby mu przypadkiem wiersz ten nie udał się, o czym rozstrzygnie nasze kółko, to napisze go wówczas drugi z was.

— A jeśli się i temu nie uda? — zapytał ktoś znowu.

— No, to napiszemy wtedy prozą.

— Ha! jeśli tak, to co do mnie, przynajmniej zgadzam się!—rzekłem.—A kolega Czerwieński?

— Dobrze. Zgadzam się i ja.

— Ciągnijcie więc węzełek!—zakomenderował Boczarski, i równocześnie, wyjąwszy z kieszeni chustkę, zawiązał na niej węzeł i zręcznie go ukryw-
szy, podał nam do ciągnięcia.

Śmiejąc się i żartując, zaczęliśmy ciągnąć.

Ślepy traf zrządził, że właśnie wyciągnąłem węzeł—ja.

— Brawo! brawo! Kolega Brzostowski zatem pisze wiersz!—wykrzyknięto chórem.

Nie było rady. Z pewną więc obawą i dumą zarazem, tegoż dnia jeszcze, t. j. 29 listopada, wzią-
łem się do pisania, a nazajutrz, w tem samem znów kółku, wiersz mój odczytałem. Nosił on tytuł: „Kor-
nelowi Ujejskiemu, w imieniu Towarzystwa Czytelní Akademickiej we Lwowie“, a zaczynał się tak:

W chwili serdecznej dla cię wdzięczności,
Niosę-ć, ognisty ziemi tej synu,
Jako dziecięciu z krwi jej i kości,
Od młodszych braci — listek wawrzynu...

Kończył się zaś strofą następującą:

A więc nam przewódź Bracie Kornelu,
Bracie po wspólnej naszej idei;
Budź w nas wciąż wiarę, wiedz nas do celu
I krzep, gdy zblednie gwiazda nadziei!

Chociaż zauważyłem, iż mimo nader wielu uje-
mnych swych stron, wiersz ten uczynił na mych słu-
chaczach dość korzystne dla mnie wrażenie, widzia-

łem jednak wybornie liczne jego wady. Był przede wszystkim ciężki i w każdej niemal strofie wskazywał mocno jeszcze niewyrobite, studenckie pióro.

Zdziwiłem się przeto niezmiernie, gdy po nader lekkiej krytyce kilku jego ustępów i zwrotów, zadecydowano wreszcie, że wiersz może iść do druku. Potwierdził to i Czerwieński. A że już i wówczas, pomimo, iż studenckie jego utwory bardzo jeszcze były słabe, przeczuwaliśmy w nim wszyscy prawdziwego poetę—więc odezwałem się zaraz:

— Pochlebiałoby mi to wielce, że i kolega Czerwieński nawet uznaje mój wiersz za godny wydrukowania „w imieniu“ naszej „Czytelnia“, ale mam niestety, powód przypuszczać, że szanowny nasz poeta czyni to tylko dla tego, abym go nie podejrzewał, broń Boże, o niechęć do mnie, iż mnie, a nie jemu, przypadł zaszczyt pisania do Ujejskiego...

— Co-bo też u licha wygadujesz kolega!?!—obruszył się Czerwieński.—A któżby i mnie zabronił napisać do Ujejskiego, gdybym tak tego pragnął koniecznie. Cenię go nie mniej od was, to pewna, ale przecież nie w ten tylko sposób uczcić można poetę, by palnąć do niego coś nakształt hymnu, czy ody.

Była to oczywiście, pewna przymówka i do mnie, więc nie odpowiadawszy już nic, zwróciłem tylko rozmowę na inny jakiś przedmiot.

W parę godzin potem wiersz mój odniósł Boczański do redakcyi *Dziennika Polskiego*, a gdy w parę dni później wydrukowano go w feljetonie 331 N-ru *Dziennika* (1870), posłałem go przy sposobności Kornelowi Ujejskiemu.

Tegoż dnia wieczorem przychodzi do mnie pocieszny jakiś gap, coś niby stangret, niby służący.

— Czy tu, *proszę*, mieszka pan Brze... Brzo?...

— Brzostowski?—pytam.

— A! tak, tak!—*proszę*.

— Tu.

— A czy wielmożny pan jest *przez urazy* od *jakademików*?

— Tak. A czego chcecie?

— Mam tu, *proszę* list.

— Od kogo?

— *Ta* nie wiem, *proszę!*

— Jakto nie wiecie?

— A bo ten pon, *proszę*, tak się jakoś nazywa, że...

— Że co?

— Że nie umiem powtórzyć...

— No, to dawajcie list. Dowiem się z niego.

— A... a kiedy ja nie dam!

— Jakto nie dacie!

— A nie dam!

— Coś ty, człowieku, oszalał? czy co?

— Co miałem oszaleć? Nie dam, bo nie dam—*taj kuniec!*

Zaczynałem już tracić cierpliwość.

— Musiałeś się, bracie, jak widzę, *urznąć* gdzieś porządnie, i sam teraz nie wiesz, co pleciesz.

— Co miałem się *urznąć*? *Laczego* mam nie wiedzieć? Jo tylko nie wiem, czy to naprawdę *pon* jest ta godna osoba, za którą się podaje..

— A z czegoż wnosicie, że to mogę nie być... ja?

— A... bo... bo *jakademiki* mieszkają, *proszę*,
zawždy po kilku *na kupie*, a pon mieszka tu som...

— Właśnie, że mylisz się bracie, bo i ja także mieszkam *na kupie* z drugim.

Lecz niepodobna go było przekonać. Musiałem dopiero zawołać przez okno stróża domu, w którym mieszkaliśmy, *vulgo* tak zwanego we Lwowie *dozorcę*. A gdy ten stwierdził nakoniec niewątpliwą moją tożsamość z adresatem, skonfundowany tem nieco *famulus*, wyciągnął wreszcie list i rzekł:

— No, to tera powiem panu prawdę: to *proszę* list od pana Ujajskiego...

— Ujejskiego chyba?

— No, tak: Ujajskiego. To przecie wszystko jedno.

— Niechże już będzie i jedno! Dajcież mi go prędzej!

— A toż damę już, damę — wycodził zwolna, jeszcze z widoczną jakąś nieufnością spoglądając na mnie i zatrzymując list w ręku.

— Dacie mi już nakoniec ten list, czy nie?! — zapytałem gniewnie.

— *Ta* zara... zara... Ojoj! A to pon gorący!... Rychtyk, jak pan Ujajski.

Widząc, iż nigdy już chyba nie dojdę do końca z nieznośnym tym marudą, wsunąłem mu w łapę *dychacza* i bez ceremonii wyrwałem z rąk list.

— Ajaj! gwałtu! *Ta* czego się pan szarpie?!

— Jakiego ty dyabła drzesz się tu jeszcze?— wrzasnąłem na dobre już rozwścieklony.—Ruszaj do kroćset pókiś cały!

— *Ta* idę już, idę... Ojoj! Jaki mi *jelegant!*—

zawołał, wysunawszy się wreszcie za drzwi. — *Wagabunda! baciarz* ¹⁾ jakiś! — mruczał jeszcze pod nosem, schodząc ze schodów...

Porwał mnie pusty śmiech. Przez chwilę zapomniałem nawet o liście. Spojrzawszy nań dopiero, rozdarłem skwapliwie kopertę i jednym tchem niemal odczytałem list Ujejskiego, w którym mi bardzo serdecznie dziękował za nadesłany mu wiersz i niemniej pochlebnie wyrażał się o nim. Pomnę jednak, że najbardziej dumny byłem z tego (co oczywiście, było tylko zwykłą formą grzeczności), że znakomity poeta list ów zakończył słowami: „Racz pan przytem przyjąć wyrazy szczerej przyjaźni i życzliwości“.

W dalszem też dopiero życiu przekonać się miałem nieraz, czy i o ile przywiązywać można wagi do jakichkolwiek w tym rodzaju frazesów i przyrzeczeń. Nie mam tu jednak bynajmniej na myśli Ujejskiego. Był to w każdym razie człowiek tak niezwykły, że i niezwykłym, nietuzinkowym zapewne umiał się okazywać, gdy znalazł się kto w potrzebie odwołania się do owej „przyjaźni jego i życzliwości“. Co do mnie, tak jakoś złożyło się szczęśliwie, że od niego przynajmniej, niepotrzebowałem w życiu nic. To też niedoznawszy, dzięki temu, żadnych w tym względzie możliwych rozczarowań, tem szczerzej i *bezstronniej* wówczas nawet mógłbym o nim mówić, gdyby mi wypadło sądzić go, jako człowieka, i to sądzić surowo... Na szczęście, dość znane

¹⁾ Epitety czysto galicyjskie, specjalnie lwowskie.

jego winy, o których nie czas jeszcze zresztą mówić, *urbi et orbi* były tak dalece właściwe ułomnej ludzkiej naturze, że i najlepsi z nas częstokroć nie są od nich wolni...

W chwili, w której otrzymałem list od Ujejskiego, nie przyszło mi nawet na myśl zastanawiać się głębiej, czy, i o ile, był on tylko aktem zwykłej jego kurtuazji lub rzeczywistej szczerości. Uzupełniłem jedynie najgorętszą chęć poznania go bliżej.

Nie namyślając się też długo, pobiegłem na-
zajutrz rano przedstawić się mu osobiście.

Mieszkał on wówczas tuż przy placu Halickim, na I-em piętrze narożnej kamieniczki (która już podobno została zniesiona) vis-à-vis niemal dzisiejszej Izby Handlowo-Przemysłowej.

Przyjął mnie bardzo serdecznie, lecz zastałem go w łóżku, bo, jak mówił, tak go przez całą noc wymęczył pewien sen, że dotąd jeszcze czuł się osłabiony.

— „Zawdzięczam go snąć—opowiadał—wspomniał mi się najwyraźniej biblijny potop. Znajdowałem się niby na strasznym jakimś urwisku czy szczycie skał, tuż nad szalejącym, w tej chwili, bezmiarem wód. Byłem cały nagi i drżący od zimna, a na rękę trzymałem omdlałego syna mego, Kordyana¹⁾. Dźwigając ten ciężar, zaledwie że mogłem ostać się na omszałych, oślizgłych mocno gła-

¹⁾ Nazwał go tak Ujejski na pamiątkę przyjaźni swej ze Słowackim i na uczczenie bohatera jego poematu.

zach. Dokoła mnie w strasznej, przedśmiertnej agonii, w okropnej, przerażającej walce, kłębiło się tysiące równie nagich ciał: kobiet, mężczyzn i dzieci...

Wszyscy błagali mnie o ratunek.

Kilka precudnie pięknych dziewic — istnych nimf czy rusalek, czepiając się odłamów skał, wyciągało ku mnie ręce, a każda z nich, z nieopisaną rozpaczą i trwogą wołała, łkając.

— Ratuj mnie! ratuj!... Będę cię uwielbiała, będę cię kochała... Ratuj, och! ratuj!... Oddam ci wszystko... Oddam ci duszę, serce, ciało, miłość, honor, wstyd... Oddam ci wszystko, och! wszystko!!

Nie chciałem je słuchać! Głuchy byłem na wszelkie błagania ich i jęki.

Tam, na sterczącym tym cyplu skał, nie było już miejsca dla nikogo.

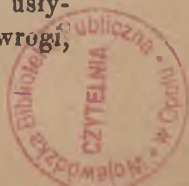
Podać komu rękę, znaczyło to zgubić siebie lub... syna.

Cierpiałem jednak strasznie: dręczyło mnie sumienie...

W mózgu mym wirowała nieustannie jedna, okropna myśl:

— Uratować, czy nie, którą z tych nieszczęsnych istot? Uratować ją, czy nie?! Powierzyć jej opiekę nad mym synem, a samemu rzucić się w tę otchłań, czy nie?!

I gdy nakoniec, wzruszony niewysłowioną rozpaczą jednej z nich, najmłodszej i najpiękniejszej, zacząłem już układać ciało Kordyana, by podać jej rękę i wciągnąć ją na swe miejsce; gdy przykląknę, by po raz ostatni ucałować mego syna, usłyszałem nagle, tuż po za sobą, straszny, złowrogi,



nieludzki jakiś ryk, a w ślad za nim całą gamę rozpaczliwych okrzyków i jęków. Był to, stłumiony nieco ryk ogromnej lwicy, dzierzającej w paszczy lwiatko i po skłębionych ciałach kobiet, rozszarpywanych jej szponami, torującej sobie drogę na sam wierzchołek, zajmowanego przez nas obu — szczytu nagich skał. Zrozumiałem, że nie ma ani chwili do stracenia; że jeśli tylko nie zdołam się oprzeć straszliwej tej inwazyi, zgubieni będziemy niechybnie, zarówno ja, jak i mój syn. Wtem, prawdziwym jakimś cudem oprzytomniał nagle Kordyan i, stanęliśmy do walki obaj. Z jednej strony, ja i mój syn, z drugiej — zrozpaczona matka-lwica i jej dziecię. Ratowało nas jedynie to, że mocno przerażone zwierzę, trzymając w paszczy swe szczenię, nie mogło jej, jako najsilniejszej swej broni, użyć przeciw nam. I nie mniej od niej straszne a silne łapy lwicy, zajęte w tej chwili wdrapywaniem się ku nam, nie były dla nas groźne. Spostrzegłszy tę naszą przewagę, uderzyliśmy na nią natychmiast, starając się ze wszech sił zepchnąć ją w otchłań. Szło nam to ciężko. Zrozpaczona lwica, uchwyciwszy się tu i owdzie wystających nieco głazów, trzymała się ich silnie. Bądź co bądź jednak, potrzeba jej było pozbyć się jak najrychlej. Raz jeszcze przeto, schwyciwszy lwicę za łeb, usiłowaliśmy ją zepchnąć. Na próżno!...

I nie wiem już, jak długo trwała ta walka.

W tem zaczęło się mocno ściemniać. Usłyszeliśmy straszny jakiś huk, szum, trzask, łoskot... Nie było już tylko słychać pod nami żadnych głosów — ludzkich... Grom uderzał za gromem, piorun za pio-

runem, a ilekroć mignęła błyskawica, widzieliśmy tylko utkwione w nas groźnie krwawe ślepią lwicy, a dokoła piętrzące się coraz wyżej, szalejące coraz straszliwiej, wzdęte, rozhukane, spienione, bezgraniczne, bezdenne bałwany i fale, odmęty i wiry, głębie i tonie, a wśród nich sterczące tu i owdzie całe kohorty ludzkich trupów i zwierząt, zbitych w jedną masę z miliardem pędzonych na oślep olbrzymią siłą wód, a zerwanych z posad — skał, drzew, schronisk...

Nagle, jakgdyby się otwarły nad nami wszystkie upusty niebios—lunęło na nas całe morze wód... Ulewa była tak straszna, że formalnie dławiła nam oddech...

— Ojcie!—rzekł z trudem Kordyan—teraz już niema ratunku... Zginiemy obaj!...

Zaledwie domówił tych słów, gdy z największym wysiłkiem, trzymająca się skały lwica, runęła nagle w głąb wód, a wśląd za nią—my...

Obudziłem się—kończył wielki piewca „Skarg“ i „Melodyj Biblijnych“ — mocno zgorączkowany, rozdrażniony, chory. Żaden jeszcze sen w życiu nie zmęczył mnie tak pewnie. A choć niezwykle do snów przywiązywać szczególniejszej jakiejś wiary, zawsze jednak uczynił on na mnie tak niemiłe wrażenie, że nie powtórzę go nawet nikomu z mej rodziny, bo mógłby z niego kto jeszcze Bóg wie jakie snuć wróżby...“

Niechcąc zamącać mu dłużej chwil niezbędnego wypoczynku, pożegnałem go wkrótce. Odtąd na różnych artystyczno-literackich zebraniach spotykałem go kilkakroć, aż na koniec w drugiej połowie

lipca 1871 roku, powziąłem myśl zbiorowej wycieczki kółka młodzieży literackiej, wśród której żyłem wówczas ciągle, do wiejskiej jego rezydencji pode Lwowem.

Przed niewielu jeszcze laty posiadałem szczegółowy opis, tej wycieczki skreślony natychmiast po powrocie z dwudniowej naszej gościny u Ujejskiego. Na nieszczęście, dzięki memu roztargnieniu, pozostał on wraz z innymi moimi rękopisami w Chicago, czy New-Yorku, dokąd już w tej sprawie, od czasu mego powrotu z Ameryki Północnej, pisałem kilkakroć. Lecz w chwili właśnie, gdy kreślę te słowa, znów mi zrobiono nadzieję, że w niedalekiej już może przyszłości, odzyskam wreszcie to, co pozostało z mych szpargałów, w Stanach Zjednoczonych. A wówczas i dzieje tych kilku pamiętnych dla mnie dni, będę w stanie opowiedzieć dokładnie i szczegółowo, ale już w zupełnie oddzielnem studyum, którebym pragnął poświęcić Ujejskiemu. Nim jednak zdołam urzeczywistnić ten zamiar, nadmienię tu o wspomnianej wycieczce kilku bodaj słowy:

Otóż dzięki przedewszystkiem energicznemu staraniom chwilowo wówczas bawiących we Lwowie Władysława Bełzy i Henryka Hugona Wróblewskiego, zebrało się nas niezwłocznie około dwudziestu. Wyruszyliśmy ze Lwowa pieszo, 21-go lipca po południu i tegoż dnia nad wieczorem stanęliśmy w Zubrzy, ówczesnej wiejskiej siedzibie Ujejskiego, w której pisywał przed laty słynne swe „Listy z pode Lwowa.“

Zbliżywszy się nieznacznie pod sam już niemal dwór, huknęliśmy mu nagle, o ile nam tylko

starczyło młodych piersi: „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej...”

I można sobie wyobrazić jakiego doznał wrażenia twórca szczytnej tej pieśni, gdy tak niespodzianie, wśród najzupełniejszej, wiejskiej ciszy wieczoru zagrzmiała mu ona...

Zaledwie, że rozpoczęliśmy pierwszą jej strofę, gdy nad wyraz wzruszony poeta wybiegł na ganek ściskając nas serdecznie i powtarzając co chwila:

— Dzięki! dzięki wam najszczerze! Sprawiliście mi wielką, niewymowną radość! Chodźcież, chodźcie do mego *tusculum*! Czem chata bogata, tem będzie wam rada!...

No, i krótko rzekłszy, zatrzymał nas wszystkich przez dwa dni i jak najserdeczniej podejmował. A gdy przed wyjazdem (bo nie puścił nas już pieszo z powrotem), przeglądając oprawy zbiór jego brulionów, ośmieliłem się go poprosić, by raczył mi którykolwiek z nich ofiarować, wydarł natychmiast wiersz zatytułowany: „*Do moich przyjaciół*” i dopisawszy na nim tylko: „*Aleksandrowi Bolestawowi Brzostowskiemu, na pamiątkę Kornel Ujejski. Zabrza, 23/7 1871 r.,*” podał mi go, mówiąc:

— Zachowaj mnie pan, proszę, w tak miłej pamięci, jak i ja w niej zachowam przebyte z wami chwile.

Śliczny ten wiersz, który w skarbnicy osobistych moich pamiątek, zaliczam, rzecz jasna, do najcenniejszych i najrzadszych, brzmi jak następuje:

Wielu was nie mam! choć pamięć zliczy
I śpiące w mogiłach kości —

Wielu was nie mam! — Kiedyż nas wiele?
 Rycerze ducha, o! przyjaciele,
 Tryumfatory a bez zdobyczy —
 My zawsze będziem w mniejszości!

Śród szmeru dziejów, ileż jest głosów
 Gromowych, ognistych, lotnych?
 I nas niewiele! — bośmy i lepsi —
 I nas niewiele! — bośmy i krzepszi —
 Na karczowisku cały łań kłosów,
 A dębów kilka — samotnych!

Sporni, słoneczni ho! z nas orłowie,
 Uraga nam świat ślimaczy —
 Od Nazaretu dawniej nas zwano —
 Dzisiaj, wy wiecie, jakie 'nam miano,
 A gdy tem mianem świat się nazowie,
 My się nazowiem — inaczej!

My śpiącym wiecznie bijem na trwogę,
 Bezsenni z Tytanów rodu —
 I wiecznie walczym w zbłąkaniu męstwa,
 Bo dla nas żywych niema zwycięstwa—
 Ciałami tylko tyczymy drogę
 Do Jerozolimy grodu!

I wiecznie dążym krwawym pochodem
 Do Jerozolimy grodu!
 Ruszać się nie chce ten świat leniwy,
 Bo on w spoczynku tylko szczęśliwy —
 Więc sarka na nas. My idźmy przodem,
 Z narodem lub bez narodu.

Z płomiennem sercem, z gwiazdą na czole
 I z wiarą, która się ziści,
 Przodem a śmiało! choć serce pęka,
 Choć nas niejedna wstrzymuje ręka —
 A tam, pod nami, niech głuchną w dole:
 Krzyki potwarzy, zawiści.

Takiem ja słowem, na twój głos budzący
 Mój odzew daję, bom czujny, nieśpiący,
 Choć nie brzęczę brzeszczotem,
 Choć niewidomie, ciągle z wami idę —
 Wyżej chmur ziemnych niosąc moją dzidę —
 Z błyszczącym słońca grotem.

Jest to „*Odpowiedź*” Ujejskiego „*na wiersz J. C. Z.*” (Jana Chrzeciela Zacharyasiewicza?), niosząca datę: *Podlipce* czy *Podlipie grudzień 1855 r.*

Opuściliśmy w niej kilka drobnych wariantów, a raczej zmian kilku ledwie wyrazów, gdyż była ona widocznie skreślona *ex abrupto*, w chwili prawdziwego natchnienia. Inny też nadto był w niej pierwotnie porządek strof: czwartej, piątej i szóstej, czego dowodzi odpowiednie ich później ponumerowanie.

...Na tem przerywam tym razem wspomnienia me o Ujejskim. Nadmienię tylko jeszcze, że nazajutrz po powrocie naszym do Lwowa, spotkał nas zaprawdę niezwykły zaszczyt, gdyż wiekopomny autor „*Chorału*”, każdego z nas po kolei odwiedził osobiście i jeszcze raz dziękował serdecznie za „niespodziankę”, jaką mu sprawiliśmy...

SEWERYN GOSZCZYŃSKI.

I.

Jesteśmy na peronie dworca kolejowego we Lwowie.

Jak zasięgnąć tylko okiem, zapelnia go dokoła kwiat inteligencji miejscowej: dygnitarze, uczeni, literaci, artyści, młodzież uniwersytecka...

Na czele zebranych, zwraca na się uwagę oddzielnie stojąca grupa osiwiatych w służbie publicznej mężów, z widocznem wzruszeniem i niecierpliwością oczekujących przybycia zbliżającego się pociągu. Jeszcze chwila, a ujrzymy snąć kogoś, którego tacy nawet, jak składający tę grupę: Smolka, Bielawski, Ujejski i tylu, tylu innych—poczytują sobie za zaszczyt powitać go pierwi...

Nareszcie zatrzymuje się pociąg.

Śród zebranych zalega nagle uroczysta, grobowa niemal cisza. Na stopniach jednego z wago-

nów ukazuje się dość wysokiego wzrostu, a bardzo skromnej, choć żołnierskiej postawy, starzec, w mocno wyszarzanem ubraniu, w odwiecznej formy cylindrze, z małą walizką w rękę...

Było to, jak mówiono, całe jego mienie...

Zaledwie go jednak spostrzegliśmy, rzuciło się ku niemu kilku najbliższych stojących: Mieczysław Darowski (senjor), Waleryan Podlewski, Agaton Giller, Włodzimierz Dzieduszycki, Jan Krechowiecki (ojciec Adama), a wśród za nimi: Smolka, Bielowski, Ujejski, Romanowicz, Koszczyc, Amborski, Bełza, Ordon itd. itd.

Poczęto go ze czcią i zapalem witać najserdeczniej. Odkryły się wszystkie głowy, wyteżyły spojrzenia i naraz, jak ryk dalekiego huraganu, rozległ się jednomyślny, gromki okrzyk:

— Niech żyje Seweryn Goszczyński!

Tak—był to on. Był to jeden z tych „czystych a wysokich“, którymi i w przyszłości nie przestaniemy się chlubić!

Ubogi jak Łazarz, zrujnowany doszczętnie podczas ostatniego oblężenia Paryża, stęskniony za krajem, uległ wreszcie prośbom zamieszkałych we Lwowie przyjaciół i oto przybył tu, by otoczony powszechną czcią i uwielbieniem, dokonać wśród nas—ostatnich dni żywota...

Przyjęto go też, jak rzekłem, z niekłamanym entuzjazmem, powitano gorącymi przemówieniami, a wzruszony do głębi starzec, ledwie potrafił się zdobyć na kilka słów odpowiedzi.

Zbliżył się teraz jeden z paryskich znajomych Goszczyńskiego, inżynier Karol Sulikowski (póź-

niejszy dyrektor kolei Warszawsko-Wiedeńskiej) i zaprosił go do oczekującego na nich powozu, który przy ponownych okrzykach: „niech żyje!“ uniósł go z przed naszych oczu.

Odtąd zaopiekowano się nim serdecznie.

W jaki zaś sposób ten czcigodny starzec, tak pełen niezłamanej dotąd dumy,—ugiął się wreszcie przed smutną koniecznością i pozwolił przyjść sobie z pomocą—nie umiem powiedzieć. Objaśnia to kiedyś inni. Dość, że ostatnie lata jego życia, były już tylko szeregiem nieustannych, rzecz można, owacyj, które i na wspaniałym pogrzebie jego nawet—nie mówiąc już o pamiętnym jubileuszu—zaznaczyły się serdecznym, a niezwykle udziałem wszystkich warstw społeczeństwa.

Przybycie Goszczyńskiego na stały pobyt do Lwowa, poruszyło w nim wszystko, co w swych murach posiadał najszlachetniejszego. W kołach towarzyskich miejscowych, prześcigano się nawzajem w okazywaniu mu przy każdej sposobności głębokiej czci i uznania. Najchłodniej stosunkowo zachowywała się w początkach młodzież—młodzież nawet literacka, a do wyjątków niemal należał taki np. gorący jego wielbiciel, jak młody wówczas równie — Władysław Bełza.

Żyjąc wówczas ciągle w gronie tejże młodzieży, obracając się nieustannie w lwowskich kołach artystyczno-literackich, spotykając się w nich częstokroć z Goszczyńskim, dziwiłem się mocno i bolałem nad tem nieraz, że upłynęło już sporo czasu od chwili zamieszkania wśród nas autora *Zamku kaniowskiego*, a dotąd jeszcze nie nadarzyła się spo-

sobność, w którejbyśmy przedewszystkiem *my, młodzi*, mogli mu równie wyrazić najgorętsze swe uczucia.

Sposobność ta jednak, wkrótce jakoś potem—zdarzyła się.

Powrócił był wówczas do Lwowa, jeżeli się nie mylę, wprost z Wiednia, zaszczytnie już znany i wtedy, artysta-rzeźbiarz i poeta, Kazimierz Ostrowski, ojciec dzisiejszego artysty-rzeźbiarza Stanisława, a szwagier Bełzy, z którym, o ile pomnę, ja go nawet poznałem. Że zaś stosunki moje z Ostrowskim były w tych czasach serdeczne i bliskie, powiada więc kiedyś, przyszedłszy do mnie:

— Wiesz co, gdy wykończę moją grupę (pracował wtedy nad mocno uszkodzonym, gipsowym odlewem swej „Polonii“), postaram się ją koniecznie wystawić w tych dniach w której z sal ratuszowych. Znam osobiście Ziemiałkowskiego, a on przecie, jako prezydent Lwowa, może mi łatwo, i to bezpłatnie, udzielić na ten cel odpowiedniej ubikacyi. Będzie więc sława, będą i pieniądze!

— Wybornie!—zawołałem.

— Ba! Ale to jeszcze nie wszystko. Bo wyobraź sobie mój kłopot. Nie mogę przecież sprzedawać osobiście biletów wejścia na oglądanie własnego mego *arcydzieła*, a nie mam w tej chwili absolutnie nikogo, komubym mógł powierzyć tę funkcję.

— Ha! jeżeli chcesz—odrzekłem—to „poświęcę się dla ludzkości“ i... zastąpię w tem ciebie...

— *Eureka* więc! *eureka*! Będę ci niewymownie, nieskończenie obowiązany... A jeżeliby ci przypadkiem udało się jeszcze komu sprzedać moją gru-

pę, to pamiętaj, że dam ci za to—*faktornego* najmniej 25 procentów... Pamiętaj!

— Dobrze, już dobrze, wielce wspaniałomyślny mężu! Będę o tem pamiętał. Ale możebyś tak zechciał *a conto* tej przyszłej sprzedaży ofiarować mi już co *dzisiaj*, jako bratu swemu w Apollinie?—zapytałem go, uśmiechając się.

Ale nasz dzielny artysta zrobił tylko na to niezmiernie seryo minę, nałożył na głowę leżący obok kapelusz i wpatrując się we mnie zdumionem niby oczami, zapytał nawzajem, mocno syczącym głosem:

— Czy nie jest to przypadkiem lekka przy-mówka do czegoś tak... *brzęczącego*?... co?...

— O! nie sądź pan o mnie tak źle!—odparłem dumnie—ja nie mogę mieć tak poziomych tendencyj.., U mnie—ma tylko walor, coś tak... *szeleszczącego*.

— Tem gorzej dla cię, bratku!—zawołał, wybuchając strasznym niby gniewem.—Nie dostaniesz za to ani centa!... No, ale wiesz zresztą co—dodał, łagodniejąc nagle—aby ci dać jakikolwiek dowód niezrównanej mej łaski, ofiaruję ci zaraz prawdziwie mistrzowsko, choć fotograficznie tylko, wykonaną kopię mojej grupy, i to z tak czułym napisem, że będziesz ją kiedyś mógł, jak sam oryginał jej dzisiaj, okazywać za biletami...

I wyjąwszy z kieszeni „gabinetową“ fotografię „Polonii“, napisał:

„Kochanemu przyjacielowi i bratu w Apollinie, A. B. B-mu, utwór ten na pamiątkę poświęca autor, Kazimierz Witold Ostrowski“,

— Na! masz!—zawołał, podając mi ją z emfazą.

— Ha! dzięki ci! mistrzu, i za to!—odrzekłem z rezygnacją. O resztę postaramy się później...

— A więc zgoda? co?

— Zgoda.

— Lecę do Ziemiałkowskiego.

I... „wyleciał“ istotnie jak z procy, pozostawiając za sobą otwarte drzwi na oścież.

W godzinę może potem wpada do mnie znowu.

— *Evoe! Evviva!* Mam już, mam! Niechże mu tu i *tam!*—dodał z wielkim niby patosem, podnosząc w górę ręce—niech mu zwłaszcza *tam*, jak najjaśniejsze przyświecają jasności!

— Ale komu?! Co? za co?

— A komuż do milionkroć beczek, jeśli nie największemu z mecenasów sztuk pięknych (tych zwłaszcza... na półmisku) Jaśnie Wielmożnemu Prezydentowi Miasta Lwowa, D-rowi obojga praw, Posłowi na Sejm Krajowy i do Rady Państwa, etc. etc., Floryanowi Ziemiałkowskiemu.

— Takżeż mi i gadaj!

— Pojutrze zatem najdalej masz stawić się nie później, jak o 9-ej zrana, w lewym pawilonie ratuszowym, na dole. Portyer wskaże ci numer sali, w której zastaniesz oczekującego już na cię pokornego twego sługę i arcydzieło jego ducha, a raczej tych oto łap, z których jedną racz, kochany przyjacielu, uścisnąć tymczasem z należną jej czcią i rewerencyą. Do widzenia! *Addio!*

W parę dni potem, dzięki uprzejmości Ziemiałkowskiego, urządzoną została istotnie w jednej z sal ratuszowych, na tle artystycznie ułożonej pąsowej

draperyi, wystawa pięknej owej grupy Ostrowskiego, zdobiącej dziś atrium Muzeum Narodowego w Sukiennicach krakowskich. Sprzedaż jednak biletów na wystawę dzieła, mało jeszcze wówczas znanego artysty, mimo nader przychyłnej oceny pracy jego przez znawców—szła jakoś tępo. Wystawę naszą odwiedzało bardzo stosunkowo, nie wiele osób. Ale za to taki np. Ziemiałkowski—ów późniejszy minister i baron z kuchcika—zwiedził ją aż kilkakroć, a za każdym razem przyglądał się grupie długo, obchodził ją na wsze strony, czynił różne uwagi, wypytywał o niektóre szczegóły, wychwalał pod niebiosa artystę i w końcu żegnał nas serdecznie, by nazajutrz—znowu powtórzyć toż samo. Uważałem, że bardzo pochlebiało to Ostrowskiemu i trudno się temu dziwić, jeśli się zważy, jak wysokie stanowisko w społeczeństwie zajmował już i wówczas ten niepospolity mąż stanu...

Największy jednak zastęp zwiedzających stanowili literaci, dziennikarze i wszelkiego rodzaju artyści. Z jednym z nich nawet dość zabawne miałem zajście.

Wchodzi pewnego razu bardzo, na pozór, poważny jakiś jegomość, w długim paltocie, zupełnie wygolony, z miną co najmniej jakiego prałata lub kanonika, na którego zresztą nie zwróciłem w pierwszej chwili uwagi, bo rozmawiało ze mną właśnie parę innych osób, domagających się biletów. Spozstrzegłem go dopiero wówczas, gdy stanął tuż przedemną i zasłonięty do połowy niemal biurkiem, za którym siedziałem, zażądał tubalnym głosem także jednego biletu. Głos mi ten wprawdzie wydał się

jakby gdzieś znanym, lecz rzuciwszy ledwie okiem na szanowną postać męża, byłem najpewniejszy, że mam przed sobą nieznanego mi zgoła wiejskiego jakiegoś proboszcza. Podając mu więc bilet, powiadam uprzejmie:

— Służę księdzu dobrodziejowi...

Ale „ksiądz dobrodziej“, zaperzywszy się okrutnie, wpada na mnie ze wściekłością:

— Co pan u kroćset tysięcy dyabłów pozwalasz sobie kpić z uczciwych ludzi? Patrzcie go!.. „ksiądz dobrodziej!“ Czemu jeszcze nie „ksiądz biskup“ lub „ksiądz prałat“ przynajmniej?

Nim, zdumiony tą napaścią, zdołałem oprzytomnieć, szepce mi ktoś do ucha:

— Ależ zmiłuj się! To przecież Hubert, artysta tutejszego teatru...

— A bodajżeż cię dyabli... — mruknąłem pod nosem, wybuchając równocześnie głośnym śmiechem

Zawtórzyli mi tym razem i wszyscy obecni.

Lecz Hubert, obrażony tem jeszcze bardziej, nie namysławiając się długo, trzasnął mocno drzwiami klnąc siarczyście, wybiegł co tchu.

Było w tem jednak tyle stron komicznych, że żadnemu z nas nawet nie przyszło do głowy obrażać się nań wzajemnie.

Tak tedy upływały dni za dniami, a nie zjawiał się jakoś żaden mecenas sztuki, któryby zapragnął nabyć wystawione dzieło, by jeszcze bardziej zachęcić tem do pracy tak wielkie nadzieje rokującego artystę. Zbliżał się wreszcie i czas, w którym ukończyć się miała wystawa grupy, gdy

któregoś dnia wieczorem zawitał na nią niespodzianie—Goszczyński.

Ucieszyłem się tem bardzo, ucieszył się i Ostrowski. Powitaliśmy go najserdeczniej. Przypatrywał się z uwagą utworowi młodego artysty, chwalił go, jak inni, i po upływie pół godziny—wyszedł.

Wówczas to właśnie błysnęła mi myśl, którą natychmiast podzieliłem się z Ostrowskim.

— Wiesz co Kaziu? — pytam.

— Nie wiem.

— No, to nie wiele. Ale mówmy seryo. Przyszło mi na myśl, że moglibyśmy, korzystając z posiadania tej sali, urządzić dla Goszczyńskiego wieczorek w imieniu tutejszej młodzieży literackiej, z którą porozumiem się jutro, a która, jak wiesz, dziwnie jakoś dotąd zachowuje się względem niego.

— Bardzo to pięknie. Ale skądże przedewszystkiem przychodzę do tego — *ja*? Nie jestem przecież ani literatem, ani poetą.

— Ach! co za wzorowa skromność!... Jaki to?! A czyż nie bazgrzesz różne wierszydła? Czyż nie drukujesz je nawet, a więc tem samem, czyż nie jesteś i poetą, nie mówiąc już o tem, że każdy przecież artysta musi nim być *w duszy* przynajmniej? Cóż to, zapomniałeś już o tem, że nawet i Pług zaczyna wiersz swój do ciebie od słów: „Rzeźbiarzu mój, *poeto*!”

Wiedziałem o tem dobrze, że ten ostatni zwłaszcza argument trafi do jego przekonania, bo chlubił się przedemną nieraz pięknym tym wierszem Pługa (ob. *Kłosa* z r. 1868 czy 69) i wspominał z rozrzewnieniem, jak mu nim serdecznie autor *Ofi-*

cialisty wywdzieczył się za medalion ukochanej swej małżonki, który nasz artysta modelował właśnie podczas pobytu swego w Kamieńcu Podolskim.

Dotknięty w słabą swą stronę, nietylko nie oponował już dłużej, ale sam nawet odezwał się po chwili:

— Musimy w takim razie pójść obaj do Ziemiałkowskiego i zapytać, czy nie będzie miał nic przeciw temu, że urządzimy ten wieczorek w wypożyczonej mi sali. Naturalnie, iż nie można nawet przypuścić, aby nie zgodził się na to, ale bądź co bądź wymaga tego—sama bodaj przyzwoitość.

— Właśnie to samo i ja ci chciałem zaproponować, z tym tylko dodatkiem, że wypada nam przecież i jego także zaprosić na ten wieczór...

— No, oczywiście; ale do kogóż jeszcze w tym celu, oprócz najbliższych przyjaciół, zamysłasz się udać?

— Do tych przedewszystkiem, którzy pozostają w bliższej zażyłości z Goszczyńskim, lub których sam lepiej i bliżej znam osobiście, a więc do Gillera, Ujejskiego, Gordona, Romanowicza, Pieńkowskiego, Limanowskiego, Syroczyńskiego i t. d.

— A z naszych rówieśników, z młodzieży literacko-artystycznej, kogóż zaprosisz?

— Także naturalnie tych głównie, z którymi żyję najbliżej, lub których przynajmniej znam lepiej, niż innych.

— Więc przedewszystkiem Belzę, Ordona, Kandeckiego, Urbańskiego, Wołowskiego, Wagnera, Czapskiego? Czy zgadłem?

— Zgadłeś. Dodaj tylko jeszcze: Zawadzkiego, Spaustę, Czerwieńskiego, Kryłowskiego i Szymańskiego, a bodaj czy nie będą to już wszyscy...

— Mamy już zatem ułożoną listę osób. Znamicie! Lecz pomyślałeś ty przynajmniej, jak i czym zdołasz przyjąć aż tylu i to tak świetnych, tak dostojnych gości? Przyznaj, że to lekkomyślność nie do darowania! Przyznaj, że zawsze tylko umiesz bujać po błękitach, a nigdy i na nie nie zapatrujesz się z punktu czysto praktycznego. Skądże weźmiesz u licha, choćby na najskromniejsze przyjęcie najmniej jakich dwudziestu osób? Zastanów się tylko!

— Zastanowiłem się nad tem, jak widzę, pierwszej nawet od ciebie, skoro teraz dopiero uznałeś za stosowne rozgderać się tak na mnie, mój ty praktyczny mentorze! — zawołałem, rozśmiaawszy się serdecznie z zaciętrzewienia przyjaciela.

— Jakto?! i ty się jeszcze śmiesz?

— A śmieję się!

— Ależ człowieku! Opamiętaj się, zastanów!

— Zastanowiłem się.

— I...?

— I zaproszę wszystkich, co do jednego.

— No, więc wytłumacz mi tę zagadkę!

— Najchętniej! Ja zaproszę gości, ja urządzę wam wieczór, a wy... wy zań zapłacicie. Dam wam zresztą odczepnego i ze swojej także strony kilka jakich guldenów.

— Tędy droga, mój panie?!

A tędy. Cóżes ty sobie myślał? Czy to ja jestem jakim Krezusem lub... Epsteinem przynajmniej?...

— Epsteinem? którym Epsteinem?...

— No jużcie nie magikiem, o którego zręczności prawileś mi takie cuda. Choć prawdę powiedziawszy, nie byłbym w tej chwili i od tego... Postawiłbym wam wówczas jedną jedyną butelczynę i... moglibyście nią wtedy uraczyć się wszyscy. Ale *à propos* Epsteina, *Mikołaja* Epsteina — rozumiesz?

— A! Mikołaja Epsteina?! Zaczynam już rozumieć... Czy nie myślisz przypadkiem jego głównie *naciągnąć* na ten kawał?...

— Jaki ty dziś, Kaziku, domyslny jesteś szczególnie — to niech cię wszystkie kaczki!... Jakbyś siedział w mym mózgu...

— Co prawda nie byłaby to dla mnie nazbyt wielka *frajda*...

— Proszę mi nie przerywać... Zgadłeś tedy, jakbyś czytał w mych myślach. Do kogóż mam się udać w niemałym tym kłopotcie, jeżeli nie do naszego literackiego Rotszylda? Tak, to bezwątpienia myśl doskonała! Któż, jeżeli nie on, syn i brat milionerów, kto jeżeli nie on, tak gorący wielbiciel Goszczyńskiego, a tak serdeczny druh i kolega gołych literatów — dopomoże mi najprędzej i w tem utrapieniu?

— Ha! może to doprawdy myśl wcale niezgorsza. Ale radziłbym ci jeszcze zwierzyć się ze swych kłopotów i przed zacnym Antonim Syroczyńskim. Ten także niechybnie cię poprze, zawsze i dla wszystkich otwartą swą kieszenią. Resztę złożymy po troszę my wszyscy młodzi...

— A widzisz, kochanku, żeś dał się na koniec

przekonać, iż nie jest to znów myśl tak waryacka...
Chodźmy jutro do Ziemiałkowskiego.

— Chodźmy.

Nazajutrz przed południem udaliśmy się do prezydenta. Przyjął nas jaknajuprzejmiej, zezwolił jaknajchętniej na urządzenie wieczorku w wypożyczonej nam sali i zapewniał po kilkakroć, że byłoby to dla niego niewymowną przyjemnością, gdyby mógł w nim brać udział osobiście, ale że nader ważne sprawy miejskie i krajowe nie pozwolą mu na to zapewne, etc. etc.

Końcowy ten ustęp nie podobał się nam bardzo, choć jak dowiedzieliśmy się później, musiał Ziemiałkowski istotnie być tego wieczoru na pewnem posiedzeniu publicznem, które wymagało dłuższej jego obecności.

Artysta nasz jednak był tą odmową oburzony na seryo.

— Obejdziemy się do stu dyabłów bez układnego tego lisa! — zawołał, gdyśmy wyszli za ledwie z audencyeonalnej sali prezydenta.

— Że jest w nim coś z lisa, a stokroć jeszcze bardziej coś z Mefistofela—na to się zgadzam. Trudno, mówiąc nawiasem, o lepszą jego karykaturę, niż tę, którą widziałem w *Kladderadatsch'u*, w postaci właśnie Mefista. Ale z drugiej znów strony, musisz chyba przyznać, że ludzie tak wybitni, jak on, istotnie nie zawsze rozporządzać mogą swym czasem.

— A! pał go tam licho! — zawołał udobruchany już nieco Kazik. — Bierzmy za pas nogi i idźmy najpierw do Goszczyńskiego, od którego

nam nawet wypadło zacząć od razu; bo dopiero-
byśmy byli wystrychnęli się na dudków, gdyby tak
Ziemiałkowski przyjął nasze zaprosiny, a Goszczyń-
ski tymczasem nie mógł w tym dniu przybyć...

— A widzisz, że niema nic złego, coby nie
wyszło na dobre...

— Przedewszystkiem niema nic *głupszego*, co-
by się mogło równać z tem przysłowiem.

— Zgoda i na to, choć przyznasz, że tym ra-
zem nie okazało się ono tak bardzo znów głupiem.

— Przypuśćmy. Ale czegoż my jeszcze stoi-
my? — spytał nagle.

— Ho! ho! Jak widzę, to i ty do tej myśli
zapaliłeś się już nie na żarty. Idźmy więc!

I poszliśmy natychmiast, a wszystko nam ja-
koś nadspodziewanie się powiodło.

Goszczyński, któremu, znając niezmierną jego
skromność, nie powiedzieliśmy nawet całej prawdy,
w jakim go celu zapraszamy, dał słowo, że przyj-
dzie. Uszczęśliwieni, podziękowaliśmy mu gorąco,
nadmieniwszy przytem, że mamy jeszcze zamiar za-
prosić między innymi Kornela Ujejskiego i Agatona
Gillera.

— Tem milej mi będzie przepędzić z wami
kilka tych godzin — dodał czcigodny starzec. Przyj-
dę najpewniej z Gillerem, lub Belzą, bo i jego prze-
cież zaprosicie niezawodnie?

— No, naturalnie! A gdzieżbyśmy mogli obejść
się bez Władka? — zawołaliśmy obaj.

— Wierzę wam, wierzę. Trudno-bo istotnie
o bardziej sympatycznego koleżkę i miłszego w to-
warzystwie biesiadnika.

Pożegnawszy Goszczyńskiego, udaliśmy się następnie do Gillera i Ujejskiego.

I ci oczywiście, nie odmówili również.

Wypadało nam teraz upewnić się jeszcze co do kwestyi materyalnej. Ale tej drażliwej nieco misyi, nie chciał się już podjąć Ostrowski, przyrzekając tylko napomknąć o tem kilku najbliższym naszym kolegom, których mieliśmy zaprosić, a z którymi niepotrzebowaliśmy już robić żadnych ceremonij.

Tak się też i stało.

Musiałem tedy sam udać się w tej sprawie do Mikołaja Epsteina i Antoniego Syroczyńskiego, którzy wysłuchawszy zaledwie o co chodzi, nietylko, jak-najchętniej przyrzekli mi swoją bytność, ale nadto jak-najskwapliwiej pośpieszyli z hojuemi udziałami na składkowy nasz wieczorek dla Goszczyńskiego. Resztę, wyłącznie już od młodzieży — zebraliśmy łatwo.

Nazajutrz zająłem się wraz z Ostrowskim, zamówieniem win i kolacyi, a gdy nadszedł pamiętny ów dla nas dzień 27-go lutego 1873 r. — oczekiwaliśmy tylko z prawdziwym niepokojem, czy i jak rychło, stawią się zaproszeni.

Nie dano nam jednak zbyt długo się niecierpliwić.

Mniej-więcej około 6-ej wieczorem, zebrali się niemal wszyscy. Nie przybył tylko Floryan Ziemiałkowski, a z młodzieży literackiej: Bolesław Czerwieński i Bolesław Spausta, którym, niepamięć już, co przeszkodziło wziąć udział w tem zebraniu, chociaż obaj, podobnie jak i inni, należeli do składki.

Przybyli natomiast ze starszych: Seweryn Goszczyński, Kornel Ujejski, Agaton Giller, 'Jakób Gordon, poeta Mikołaj Epstein, Karol Pieńkowski, Bolesław Limanowski i wreszcie zacny filantrop Antoni Syroczyński. Z młodszych: Tadeusz Romanowicz, Aurelii Urbański, Klemens Kantecki, Władysław Ordon, Władysław Belza, Bronisław Zawadzki, Michał Wołowski, Tadeusz Czapelski, artysta-muzyk Jan Józef Wagner; głośny w swym czasie student uniwersytetu kijowskiego, Aleksander Kryłowski; artysta-drzeworytnik: Zenon Szymański i inni, których już nie pomnę.

Zebrało się nas, słowem, około trzydziestu.

Zrazu, jak w każdym podobnem gronie, toczyła się rozmowa o różnych kwestyach społecznych, literackich, artystycznych, a że stoły, do których mieliśmy wkrótce zasiąść, ustawiono, z braku miejsca, tuż przed samą niemal „Polonią“, więc wywiązała się także rozprawa i o grupie Ostrowskiego. Czyniono jej różne zarzuty, lecz wszystkie je niemal odparł artysta zwycięzko.

W parę godzin potem podano kolację i teraz dopiero literacka ta nasza biesiada zaczęła przybierać właściwy sobie charakter.

Upatrzywszy odpowiednią chwilę, powstał wkrótce jeden z najświetniejszych w Galicyi publicystów i mówców, mąż ogromnych później zasług, a nadzwyczaj już popularny tu i wówczas — Tadeusz Romanowicz. W ognistym swem przemówieniu, skierowanem ku Goszczyńskiemu, podniósł wysoko znaczenie jego w społeczeństwie, jako obywatela i poety, a zaznaczywszy następnie jak szczęś-

śliwym dziś i dumnym czuje się Lwów, iż przypadł mu zaszczyt posiadania w swych murach tak znakomitego męża, wyraził równocześnie głęboki swój żal, iż teraz dopiero nadarza się mu sposobność powitać go także w imieniu artystyczno-literackiej młodzieży galicyjskiej.

Zaledwie jednak Goszczyński kilku serdecznemi słowy zdołał podziękować Romanowiczowi za niespodziewane to dlań powitanie, powstał znów inny, a prawdziwy mistrz słowa zarówno w poezyi, jak w mowie—Władysław Ordon. Niepomnę już dziś, niestety! co mówił. Wiem tylko, że jak zawsze, ilekroć go widziałem w podnioslejszym nastroju ducha, mowa jego była pełną poetycznych porównań, kwiecistych okresów i arcy-oryginalnych zwrotów.

Podniecony przepięknemi temi mowami, zażądał teraz głosu prawdziwy nasz Beniaminek, utalentowany poeta i niepospolity improwizator, kilkakroć już wspomniany Władysław Belza, który i tym razem wygłosił wierszem natchnioną improwizacyę, nawiązując ją do kilku zdań nie mniej wymownych swych poprzedników.

Gdy skończył, zauważyłem, że tak Ujejski, jak i Giller, nie mówiąc już o Goszczyńskim—zdziwieni zostali niezwykłą tą podniosłością chwili, która tak niespodziewanie ich zaskoczyła. Będąc jednak, jak mówił mi później Ujejski, pod uroczystem jej wrażeniem, nieuważali za stosowne i ze swojej także strony wygłaszać jakieś mowy na cześć Goszczyńskiego, gdyż nieraz już przemawiali doń gdzieindziej. Pragnęli dziś zresztą dać głos przedewszystkiem bądź młodzieży, bądź tym, którzy dotychczas

nie mieli jeszcze sposobności zbliżyć się do sędziwego barda Ukrainy.

Co się zaś tyczy samego Goszczyńskiego, ten przy gołębiej swej prostocie, skromności i zupełnym braku daru wymowy (takim go przynajmniej znaliśmy na lat kilka przed zgonem), starał się widocznie, mówić, jak najmniej.

Młodzieży więc przypadła główna dziś rola, Przemawiało też po kolei jeszcze z nas kilku i byłby niewątpliwie cały ten pamiętny wieczór przeszedł w tak niezwykłym nastroju, gdyby nie wmieszał się weń niespodzianie, żywioł humorystyczny. A dał do tego powód, następujący wypadek:

Już po wspomnianej improwizacyi Bełzy, spostrzegłem, że Mikołaj Epstein wyszedł do kurytarza i chodząc po nim zamyślony, mruczał coś nieustannie, jak gdyby co sobie układał w myśli i uczył się na pamięć.

Byłem pewny, że jak Romanowicz i Ordon zamierza wystąpić z długą mową i że w ten sposób przygatawia się do niej. Jakoż istotnie po upływie mniej więcej pół godziny, Epstein powróciwszy z kurytarza, zażądał głosu i ku niemałemu zdumieniu zebranych, rozpoczął wygłaszać, nie jak się spodziewano, zwykłą mowę prozą, lecz wcale ładny nawet wiersz, mający wszelkie pozory improwizacyi. Wołał więc poeta:

Ja na prozy zrodzon łonie,
Gdzie powszedniość cnót jest szczytem,
Wyciągałem w przestwór dłonie,
W kraj poezyi, jak za mitem!

Każdy wieszcz mi narodowy
 Był zjawiskiem nieujętem;
 Z aureolą wokół głowy,
 Z gwiazd promienny — był mi świętym!
 W legendarnej tej krainie,
 Gdzie geniusze słońc swych strzegą,
 Ciebie czcił, o Sewerynie!
 Czczył nazwisko Goszczyńskiego!

.

Utknąwszy nagle na ostatnim tym wierszu, poeta zmieszał się mocno i zapomniawszy widocznie, co ma dalej mówić, począł rozpaczliwie trześć czoło, a czerwieniąc się i blednąc na przemiany, powtarzać bezmyślnie:

Czczył nazwisko Goszczyńskiego!
 Czczył nazwisko Goszczyńskiego!

Nie wiem jak na kim, ale na mnie wywarło to nadzwyczaj przykre wrażenie. Postawiłem się mimowolnie w pozycji Epsteina i odczułem, jakby na tem ucierpiała moja miłość własna, gdybym się znalazł w podobnem jemu położeniu. Wyznaję, że żał mi go było serdecznie.

Spojrzałem po obecnych.

Jedni spuszczone mieli oczy, drudzy starali się zachować jaknajpoważniejszą minę, inni z widocznym tylko wysiłkiem powstrzymywali drgający na twarzy uśmiech.

Chwila stawiała się już naprawdę coraz to tragicomiczniejszą, a jak mi mówił później sam Epstein, zdawała się mu niemal całym wiekiem.

Poeta tymczasem jękał się rozpaczliwie. Słuchacze nie wiedzieli co już ze sobą począć, gdy nagle powstał Goszczyński, a chwytając za ręce wielce zawstydzonego Epsteina, począł weń wmawiać, że nie powinien znów tak dalece brać tego do serca, bo... „niejednemu przecież z genialnych nawet poetów, zdarzały się—dodał—podobne wypadki“...

— Tak, tak — niech nam pan wierzy! Byłem raz świadkiem, jak nawet Słowackiemu zdarzyło się coś podobnego—upewniał go i Ujejski.

Nikt jednak z nas jakoś nie był ciekawy, dowiedzieć się przy jakiej to sposobności miało „coś podobnego“ się zdarzyć i wielkiemu Juliuszowi, tak dalece przekonani byliśmy wszyscy, że jest to tylko bajeczka zmyślona naprędce *ex re* wypadku nieśczęśliwego Epsteina. Tak też niechybnie rozumiał i on sam, bo nieuspokojony tem wcale, usiadł mocno skonfundowany.

Staraliśmy się wszyscy pocieszać go, jak umieliśmy, jeden tylko zawsze zjadliwie dowcipny Ordon, niepominę już jak, ugryzł go trochę.

Przekonamy się niżej, że zapamiętał mu to Epstein...

Zagadano jakoś wszystko i gdy po upływie pewnego czasu ochłonął wreszcie z doznanych wrażeń niedoszły nasz improwizator—podniósł się znowu i oświadczył, że pragnie, bądź co bądź, dokończyć koniecznie przerwanego wiersza.

Poprosiliśmy go o to chórem, no, i tym razem dopisała mu pamięć. Powtórzywszy przeto na nowo znany nam już początek, dokończył go, jak następuje:

Cierniowego życia smutki,
 Duch mój, bólem braci słaby,
 Koił w rymach Twojej „Sobótki“.
 Czerpał z Twego hart Nebaby!
 Dzięki pieśni, co się pali
 Zniczem sławy — co nie zginie --
 Jam się w żywot wrósł górali,
 Uczył śnić o Ukrainiel
 O tak! „Zamek“ Twój „Kaniowski“
 W pierś, co chłodem krzyżowana,
 Cześć wlał dla poezji Boskiej! —
 Tyś mnie zbliżył do Ossyana ¹⁾!
 Dziś hamować chcę porywy.
 Cudowności-bo doznałem!
 Wieszczu, wieszczu mój sędziwy,
 Dziś się słowo stało ciałem!
 O! mocarzu wieszczej braci,
 Gdym przy Tobie — płonie głował
 Witaj mi, o Ty postaci
 Niegdyś dla mnie legendował
 Dzisiaj widzę na me oczy
 Wieszcza, co pół wieku słynie!
 Korzę się, gdy przy mnie kroczy...
 Cześć Ci, Orle-Seweryniel

Zakończenie wiersza Epsteina było istotnie tak
 pełne zapału i uwielbienia dla Goszczyńskiego, że
 wzruszony niem do głębi starzec podziękował mu
 ze łzą w oku, uściskawszy go serdecznie.

Poprawiwszy w ten sposób nadwerżoną nieco
 reputację swą, jako poety, odzyskał pan Mikołaj
 zwykły swój humor, który odbił się niebawem

¹⁾ Aluzya do przekładu Ossyana przez Seweryna Goszczyńskiego.

i na całym towarzystwie, gdy zwłaszcza na seryo zabrano się do kolacyi.

Poczęły teraz oczywiście krążyć toasty i zaczęto pić zdrowie obecnych.

Pierwszy, jeżeli się nie mylę, powstał Aureli Urbański i wniósł zdrowie, jak się wyraził „hetmana naszej poezyi“ Seweryna Goszczyńskiego!

Wypiliśmy je, powstawszy, z okrzykiem: „Niech żyje!“

Pito dalej z kolei zdrowie wszystkich niemal obecnych i wierszem, lub prozą wznoszono toasty na cześć: Kornela Ujejskiego, Agatona Gillera, Jakóba Gordona, Tadeusza Romanowicza, Bolesława Limanowskiego, Aurelego Urbańskiego, Bronisława Zawadzkiego, Klemensa Kanteckiego, Kazimierza Ostrowskiego, Antoniego Syroczyńskiego i innych.

Powstał wreszcie znowu najmłodszy niemal z naszego grona, Władysław Bełza i z sardonicznym nieco uśmiechem, zawołał:

— Piliśmy niedawno zdrowie „hetmana naszej poezyi“, Seweryna Goszczyńskiego. A gdzie jest hetman, tam musi być i dobosz! Wznoszę więc zdrowie dobosza naszej poezyi, pana Mikołaja Epsteina!

Zaśmieliśmy się wszyscy, zaśmiał się i sam Epstein, ale znać było po nim, że śmiech to był nieszczerzy i że żart ten Bełzika ubódł go równie, jak nieco pierwej, złośliwy ów przycinek Ordon.

Nim jednak opowiem, co zaszło następnie, muszę nadmienić, że tak Ordon, jak i Bełza, liczyli sobie wówczas po lat jakich mniej - więcej dwadzieścia parę...

Owóz nie namysławiając się długo, powstał znów za chwilę Epstein i w ten sposób odezwał się:

— Piliśmy niedawno zdrowie „hetmana naszej poezyi Seweryna Goszczyńskiego, i jak raczył łaskawie wyrazić się pan Belza, zdrowie „dobosza naszej poezyi“, t. j. moje. A gdzie jest hetman i dobosz, tam muszą być i... *bębny*. Wznoszę zatem zdrowie *bębnów naszej poezyi*, panów: Władysława Ordona i Władysława Belzy.

Wybuchnęliśmy na to wszyscy prawdziwie homerycznym śmiechem. Przyznać potrzeba, że Epstein obu chwilowym swym antagonistom odciął się świetnie.

Rozweseliło to tak dalece wszystkich, że upłynęło przynajmniej z pół godziny czasu, nim w nader ożywionej naszej pogadance znów nastąpił nieznacznie zwrot poważniejszy.

Poczęły więc teraz na nowo krążyć piękne toasty, gwar był coraz to większy, uczucia gorętsze, myśli lotniejsze, serca otwartzsze. I wszyscy po kolei zdobywali się na toasty mniej lub więcej wymowne, zdobył się i Ostrowski, ja tylko jeden, w tak niezwykle świetnem gronie, nie miałem odwagi wystąpić z niczem.

Spostrzeżono to już oddawna i musiałem nawet z tego powodu znieść nie jeden żart Belzy, Ordona, Kanteckiego i innych, którzy co chwila wołali na mnie:

- Dalejże nasz amfitryonie!...
- Pokaż, co umiesz!...
- Nie milcz-że, jak mumia!
- Przemówże co wreszcie!

Wyznaję, że irytowało mnie to mocno, a gdy jeszcze i Ostrowski począł mi przedstawiać, że jako pseudo-gospodarz i główny inicjator dzisiejszego zebrania, winienem coś przecie odezwać się do tak dostojnych gości, przyznałem mu w duchu najzupełniejszą rację i pomimo wrodzonej mi w takich razach nieśmiałości, powiedziałem sobie w końcu, że, bądź co bądź, *muszę* w jakiś sposób przemówić istotnie...

Przemówić? Ale jak? Mówiono już przecież tyle, mówiono wierszem i prozą, mówiono tak podniosłe i pięknie, z takim zapalem i ogniem, że czułem to dobrze, iż nie zdołam z pewnością sprostac nikomu. Z drugiej jednak strony, młodzieńcza jakaś próżność, czy skłonność do poezyi, w którą bawiłem się wówczas, drukując tu i owdzie różne swoje wierszydła, szeptała mi nieustannie, że jeżeli już mam wznieść toast na cześć tak znakomitych gości, a przedstawicieli głównie poezyi, to powinienem go bezwarunkowo wygłosić wierszem!

— A że wobec wszystkich, pisać tu jakoś nie wypada—rzekłem do Ostrowskiego, zwierzywszy się mu z projektem—ułożę go sobie w myśli i podobnie jak Epstein, wyuczę się zaraz na pamięć...

— Brawo! brawo! „I podobnie jak Epstein“—zawołał na to Kazio, przedrzeźniając mnie pociesznie—zapomnisz w końcu języka i... *zblamujesz się* niechybnie, gorzej jeszcze od niego!

— O! co o to, mój panie, to nie lękam się wcale! Wiersz mój będzie tak krótki, że wyuczę się go łatwo!

— Ha! Rób więc jak chcesz, ale pamiętaj, abyś się nie zblamował...

— No! no! nie obawiaj się! Jakoś to będzie!...

Wyszedłem tedy, jak Epstein niedawno, do tegoż samego kurytarza i podobnie, jak on, zacząłem w nim sobie układać i kuć na pamięć zapowiedziany ów wiersz.

Było w tem oczywiście, tyle śmieszności, że gdy Ostrowski szepnął na ucho wielką tę nowinę kilku najbliższym swym przyjaciółom, obleciała ona wkrótce połowę niemal zgromadzenia, a gdy w pół godziny potem wyszedłem z uroczystą miną, by wygłosić mój toast, spostrzegłem, jak mi się zdało przynajmniej, kilka dość złośliwie uśmiechniętych twarzy. Nic sobie jednak nie robiąc z tego, podszedłem do stołu i wzięwszy w rękę jeden z napel-nionych winem kielichów, rozpocząłem w te słowa:

I jeszcze toast! w górę więc czasze!
 Do nieba myśl i ręce!
 A teraz zbliżmy kielichy nasze,
 Bracia wy moi w piosence! (sic!)
 Obyż nam tylko serca i dłonie
 Silnie już splotły się ninie! —
 A Ty, sędziwy nasz Sewerynie,
 Co osiwiate śród znoju skronie
 Wrócisz złożyć na Matki łonie,
 I Ty Kornelu, Ty nasz Jeremi,
 Co tak odczułeś bóle swej ziemi,
 I wy, ol moi bracia rówieśni!
 Coście zdołali nietylko w pieśni,
 Nietylko w szczytną poezyi księgę,
 Zaklinać swoich natchnień potęgę —
 I wy śród własnej ziemi tułacze,
 O! wszyscy, słowem—jak tu jesteśmy! —

Nie tęskne żale, nie próżne płacze,
 Lecz cały żywot ojczyźnie nieśmył
 Ja też gorąco ufam i wierzę,
 Że tam gdzie dotąd są jeszcze tacy
 Słowa mistrzowie, czynu szermierze,
 Jak nasz Seweryn, Kornel, Agaton —
 Tam....

Lecz tu, stała się ze mną nagle rzecz przerażająca... Wbrew bowiem młodzieńczej mej pewności siebie tym razem, zapomniałem i ja, „podobnie jak Epstein“ (sprawdziła się przepowiednia Kazika), co mam dalej mówić. Nie darmo snąc we mnie, w chwili tej katastrofy Epsteina, obudziło się było tak nieklamane dłań współczucie. Przeczuwałem widocznie, że i ja wkrótce mogę potrzebować go od innych. Wszystko też to naraz stanęło mi przed oczami. Spojrzałem rozpaczliwie przed siebie. Słuchacze moi, a szczególnie sam Goszczyński i najbliżej go otaczający, z ciekawością w tej chwili spoglądali na mnie. Spojrzenia ich jednak nic więcej nad ciekawość nie zdawały się wyrażać. Uspokoiło mnie to znacznie. Byłem już pewny, że zdolam schwycić natychmiast wątek przerwanej myśli, gdy w tejże samej chwili wychyliła się z po za innych sarkastycznie uśmiechnięta twarz jednego z bliższych moich znajomych, artysty-drzeworytnika Zenona Szymańskiego, który stanął nieopodal za siedzącym Goszczyńskim. Utkwiony tak we mnie, bez żadnej nawet może złośliwej intencji, lecz ze zwykłym mu tylko szyderskim uśmiechem, wzrok Szymańskiego, zmieszał mnie mocno. Nie śmiałem już nawet oczu zwrócić gdzie indziej, bo przemknę-

ła mi myśl, że i wszyscy już zapewne patrzą na mnie w tenże sam sposób i uśmiechają się podobnie. Pewność, iż mogę, również jak Epstein, skompromitować się najfatalniej, bardziej mi jeszcze odebrała przytomność. Doznawałem uczucia, jakgdyby mi krew zastygnąć miała w żyłach... Czułem, że robi mi się źle. W uszach zaczynało mi szumieć, w głowie się mącić, w oczach się ściemniać. Ale słyszę w tej chwili głos stojącego za mną Belzika, który bardzo cichutko szepce mi w ucho jeden tylko wyraz:

— „Maraton!“

Miał to być oczywiście rym do: Agaton“.

— Ba! — myślę sobie — „Maraton!“ Łatwo mu to powiedzieć!... Ale cóż ja nieszczęsny pocznę z przeklętym tym „Maratonem“?! Gdzie i jak go tu wsadzę, gdy w wierszu ukutym przezemnie był do „Agaton“ rym „Katon“, a nie jakiś tam „Maraton“!?! — Bodaj cię jasne pioruny! — zakląłem w myśli, sam już nie wiem kogo, i... zaciąłem się jeszcze bardziej, gdy wtęm słyszę znowu, jak Belzik ze zwykłą mu *présence d'esprit* i ogromną łatwością wierszowania, szepce mi już tym razem, tak zręcznie w mgnieniu oka dorobione *wraz z rymem* zakończenie całej mej myśli (choć w innym zupełnie sensie), że chwyciłem się go naturalnie, jak ostatniej deski zbawienia, i powtórzyłem za nim:

„Tam nowy w dziejach błysnie Maraton“!

Nietylko więc w ten sposób salwowałem nie spodzianie, mocno zagrożony mój honor... wierszo-

klety, ale nadto udało mi się nawet dodać dość szybko do poprzednio już wygłoszonych, jeszcze jedną strofę, którą przypomniałem sobie nagle, a której nie pomnę już dziś zupełnie.

Wszystko to oczywiście—na opowiedzenie czego aż tyle potrzebowałem tu czasu—nie wiem, czy trwało piętnaście nawet sekund. I to też jedynie, dzięki poczciwemu Bełzikowi, zdołało uratować sytuację.

* *

● Było już coś około 2-giej po północy, gdy wygłosiłem mój toast. W godzinę może potem zaczęło się rozchodzić. Najprzód pożegnał nas serdecznie Goszczyński, dziękując gorąco za owacyjne to przyjęcie, za nim pożegnali się inni.

I tak się wreszcie zakończył ów, dla wszystkich nas zapewne, pamiętny wieczór.

II.

Z Sewerynem Goszczyńskim spotkałem się po raz pierwszy na jednym z głośnych niegdyś we Lwowie poranków artystyczno-literackich, u państwa Mikołajostwa Epsteinów, u których gromadzili się wówczas zazwyczaj wszyscy wybitniejsi przedstawiciele literatury i sztuki, bądź chwilowo, bądź stale przebywający we Lwowie. U nich to tedy miałem sposobność poznać słynnego autora „Zamku Kaniowskiego“, a ile pomnę, w kilka dni potem spotkałem się z nim znowu u prof. Antoniego Małeckiego i Augusta Bielowskiego, nieco zaś później u Kornela Ujejskiego i Agatona Gillera.

Dzięki temu ostatniemu zwłaszcza, a przede wszystkim dzięki owemu wieczorowi na cześć Goszczyńskiego, cieszyłem się odtąd niemalymi jego względami i, co za tem idzie, bywałem dość częstym jego gościem. Stąd też, jako jeden z bliższych świadków ostatnich chwil życia tego znakomitego barda Ukrainy, tego wielkiego „męża mocy“, jak go słusznie nazwano, poczuwam się do obowiązku opowie-

dzieć tu także o ostatnich jego chwilach i... ostatniej posłudze, jaką mu oddało, gorąco go miłujące, społeczeństwo.

Lecz jakże się zgorszycie zapewne gdy przypomnę, że i w tak bolesnej nawet chwili znalazły się koterye, które mimo powszechnej czci ogółu dla zgasłego wieszczą, ledwie, że nie nazajutrz po jego zgonie, zamanifestowały najwyższą swą ku niemu niechęć kilkuwierszową ledwie wzmianką w swoich organach o imponującym jego pogrzebie, wzmianką, głoszącą jedynie, że... „były na nim także i mowy pogrzebowe, lecz z powodu natłoku trudno je było dosłyszeć^a (sic)...

To dość. Bo i czemuż dla nich zaprawdę, czem

. „ten starzec biały,

Co biały sztandar swój niósł tak wysoko,

.

Co na swój naród wylał tyle chwały,

Choć był tak prosty, cichy i nieśmiały“?

Czem dla nich

. „imię

Jednego z owych, co na naszym niebie

Pół wieku blaski rzucali olbrzymie,

Jak słońce—światło z ciepłem dając z siebie!?

Jednego z owych, co zerwawszy z chwałą,

Nic z własnych potrzeb nie kładąc na szali,

Jak Bóg zmieniali każde słowo w ciało

I świat nam z piersi swoich darowali?

Imię z Zakonem powiązane Starym,

Z wiarą, zapałem, czuciem niewygasłem,

A takie czyte, że może sztandarem,

A tak doniosłe, że być może nasłem“?!

^a) Z wiersza W. Ordona, poświęconego Goszczyńskiemu

Czem dla nich to wszystko?

Ale przechodząc do ostatnich chwil życia Go-szczyńskiego, wspomnieć naprzód winienem, że stan jego zdrowia od roku już 1871, wywoływał bardzo niepokojące objawy... Oblężenie Paryża—gdzie, jak wiadomo, mieszkał lat kilkadziesiąt—przetrwał on wśród nędzy, osamotnienia i głodu, zmuszony nawet będąc palić niejednokrotnie ulubione swe książki, by tylko ogrzać szczupłą izdebkę, lub ugotować wodę do chleba, zmieszanego z plewami i piaskiem! Łatwo się więc domyślić, że takie cierpienia musiały w końcu sprowadzić na starca, skolatanego wrażeniami i wiekiem, nie tylko zbyt dolegliwą, lecz i niebezpieczną chorobę. Wkrótce też potem opuchły mu nogi i całe ciało. Choroba ta byłaby już wówczas przybrała zatrważające rozmiary, gdyby na szczęście, nie przeminęło oblężenie Paryża, a z niem dotkliwy głód i niedostatek. Wszystko to wszakże nie wpłynęłoby jeszcze zbyt dodatnio na ówczesny stan jego zdrowia, gdyby równocześnie liczni wielbicieli jego charakteru, talentu i zasług nie zdołali go skłonić do powrotu na ojczystą ziemię.

Zrazu jednak czcigodny starzec, choć pożerany tęsknotą do kraju, miał pewne skrupuły, nie pozwalające mu zadość uczynić zarówno swym własnym, jak i przyjaciół swych pragnieniom. Ale nareszcie zdecydował się przenieść na stały pobyt do Lwowa i, opuściwszy sympatyczną dla siebie Francję, przybył tam na początku jeszcze maja 1872 roku, witany po drodze oznakami głębokiej czci i uwielbienia, jak np. w Lipsku, Dreźnie i t. d. W Krakowie, gdzie stanął 23 kwietnia t. r., dano

dla niego ucztę, w której wzięli udział najprzedniejsi obywatele kraju. A gdy nakoniec przybył do Lwowa, powitała go na dworcu kolejowym, jak już opisałem wyżej, tłumnie zebrana publiczność, w której imieniu przemówiło kilku zasłużonych weteranów i osobistych przyjaciół wieszcza.

Odtąd życie jego upływało spokojnie i cicho, przerywane tylko częstokroć oznakami głębokiego hołdu otaczających go osób. Nieraz byłem świadkiem, gdy cisnęli się do niego mężczyźni i dojrzałe nawet wiekiem kobiety, by ucałować tylko drogą tę rękę. Najwybitniejszym wszakże dowodem powszechnej czci i miłości, jaką otaczano autora „Zamku Kaniowskiego“ i tylu innych znakomitych utworów, był pamiętny obchód półwiekowego jubileuszu jego zasług i prac w zawodzie literackim.

Nie podam tu jednak opisu wzniosłej tej uroczystości. Poświęcono jej w swym czasie oddzielną książkę. Moim zamiarem jest zaprowadzić was najpierw do łoża gasnącego już poety. Choroba jakiej uległ on z przeziębienia w grudniu jeszcze 1875 r., zdawała się mieć na razie przebieg zupełnie normalny. Były nawet chwile, tak dalece świadczące o znacznem polepszeniu zdrowia, iż cieszyliśmy się wszyscy, że przy nadzwyczajnej zwłaszcza troskliwości d-ra Tadeusza Żulińskiego i d-ra Opolskiego czcigodny nasz rekonwalescent podźwignie się z pewnością. Ale niebawem pogorszyło się znacznie, a w dniu 22 lutego objawiła się gorączka. Odtąd najczulsze nawet starania otaczających go lekarzy, okazały się bezsilnemi. Wkrótce też potem nastąpiło—porażenie płuc. Przez cały ciąg swej choroby

nadzwyczaj łagodny i cierpliwy, do ostatniej prawie chwili był przytomny zupełnie. Noc z 24-go na 25-ty przyniosła mu pewną ulgę. Nad ranem znów pogorszyło się znacznie. Chory poprosił wówczas pielęgnującej go staruszki, Heleny Świderskiej, by wezwała co rychlej mieszkającego w tymże domu Władysława Bełzę. Gdy przybył Bełza, konający już poeta nie mógł przemówić ani słowa.

Posłano po księdza i bliższych przyjaciół.

Za chwilę nadszedł syn przyjaciela Goszczyńskiego, ś. p. Jana Krechowieckiego, równie już dziś nieżyjący, ksiądz Antoni Krechowiecki, rodzony brat Adama, a w ślad za nim podążył ks. Otton Hołyński, który dokończył zwykłych ceremonij i opatrzył konającego św. Sakramentami.

Wkrótce potem przybyli: Agaton Giller, dr. Tadeusz Żuliński, Mieczysław Darowski, siostra i żona Władysława Bełzy, państwo Janowscy i piszący te słowa.

Było to 25-go lutego 1876 roku, przed 8-mą z rana.

W pół godziny potem, bo około 25-ciu minut na 9-tą, wieszcz nasz już nie żył...

Zasnął tak cicho, że zaledwie to dostrzegliśmy...

Chociaż na zgon ten oddawna byliśmy przygotowani, serca ścisnęły się nam boleśnie, a niejednemu z obecnych łzy potoczyły się z oczu.

Utworzony, pod przewodnictwem Alfreda Młockiego, komitet pogrzebowy zajął się gorliwie oddaniem ostatnich usług uwielbianemu mężowi. Na wieść o zgonie Seweryna Goszczyńskiego, wszystkie korporacye miasta Lwowa, oraz liczni reprezentan-

ci innych miast galicyjskich, pośpieszyli do komitetu z wynurzeniem głębokiego współczucia i żalu...

Wystawy księgarskie dwóch literatów lwowskich i właścicieli zarazem dwóch ówczesnych firm księgarskich, Władysława Zawadzkiego (starszego brata Bronisława) i Władysława Belzy, pokryto czarną krepu i przyozdobiono portretami zmarłego. Kasyo mieszczańskie, Towarzystwo muzyczne i Muzeum przemysłowe odłożyły z powodu mającego nastąpić pogrzebu wieczory i odczyty. Jedna tylko dyrekcyja miejskiego teatru postąpiła sobie więcej niż nietaktownie, bo w chwili, gdyśmy grzebali wiejszcza na cmentarzu, dawała przed pustemi niemal krzesłami zwykłe przedstawienie popołudniowe.

Nadszedł wreszcie dzień 27-y lutego, dzień pogrzebu poety.

Zdawało się, że padający od rana deszcz i powstałe stąd błoto znacznie się przyczynią do zmniejszenia udziału publiczności. Ale niebawem nad wszelkie nasze spodziewanie niebo się wyjaśniło i zabłysła pogoda tak piękna, że w lutym piękniejszej zapragnąćby nie można.

Przed godziną trzecią po południu, o której miał właśnie wyruszyć z bardzo skromnego mieszkania poety ¹⁾ kondukt pogrzebowy — wszystkie

¹⁾ Goszczyński zajmował jeden niewielki pokój z przedpokojem w domu przy rogu ulic: Halickiej (dziś ul. Batorego) i Fredry, pod N-r 54, w podwórzu, na dole, drugie drzwi na lewo od wejścia z bramy. Facyatę tego domu przyozdobiono później marmurową tablicą z następującym—Jeśli dobrze pomnę — napisem: „W tym domu mieszkał i w nim zakończył życie Seweryn Goszczyński“. (Dziś dom ten zburzono dla wzniesienia nowego).

przyległe ulice i place przepełnione były olbrzymimi tłumami publiczności.

Z każdą też chwilą liczba ich rosła.

Do katafalku zmarłego cisnęły się tak wielkie tłumy, że aby zapobiedz jakiemu wypadkowi, zmuszeni byli utrzymujący przy zwłokach straż honorową studenci uniwersytetu i akademii technicznej wpuszczać później do środka po kilka tylko osób.

Mieszkanie czcigodnego autora „Sobótki“ zamienione zostało w żałobną, obitą kirem kaplicę.

Zwłoki, nabalsamowane w półtorej doby po zgonie przez d-ra Feigla (który czynności tej podjął się z własnej inicjatywy i zupełnie bezinteresownie), ubrano w czarny surdut, który nieboszczyk najczęściej nosił za życia, a złożywszy je do metalowej trumny, ustawiono na katafalku, przyozdobionym mnóstwem jarzącego światła, laurowych wieńców, cyprysów i kwiatów.

Ponad trumną górował niewielki obraz N. P. Częstochowskiej, do trumny dano mu wieniec, który przed rokiem na obchodzie półwiekowego jubileuszu wręczył Goszczyńskiemu w imieniu wszystkich Polek, na kilka miesięcy przed nim zgasły autor „Podróży po Australii“, Seweryn Korzeliński.

U stóp nieboszczyka umieszczono pięknie wykonany duży portret fotograficzny z zakładu Edwarda Trzemeskiego, zdobiący za życia poety jego pokój, a tuż nad portretem ułożono pięknie oprawioną księgę zbiorową pod nazwą: „Sobótka,“ którą ofiarowali mu uroczyście na wspomnianym obchodzie jubileuszowym licznie zebrani jego wielbiciele.

Punkt o godz. 3-ej chór członków Towarzystwa Muzycznego, ze swoim prezesem, Karolem Mikulim, odśpiewał na dziedzińcu piękny hymn Lottego. Równocześnie też przedniejsze grono kapłanów odprawiło przed trumną zwykle modły kościelne, a gdy je ukończono, zbliżyli się do katafalku, by wziąć na barki trumnę: prof. uniw. dr. Bronisław Radziszewski, znakomity chemik, dr. Józef Żuliński, dr. Tadeusz Żuliński, Platon Kostecki, Mieczysław Darowski (syn) i Włodzimierz Milowicz, którzy zastrzegli sobie prawo pierwszeństwa przy niesieniu zwłok ukochanego wieszca.

W chwili wyruszenia pochodu, członkowie opery pod dyрекcyą Warszawianina, Henryka Jareckiego, odśpiewali *Ave Maria*.

Tymczasem olbrzymie tłumy ludu tak się wciąż powiększały, że niepodobna było dojrzeć ani ich początku, ani ich końca. Dla tych, którzy znają Lwów, wystarczy, gdy powiem, że cała ulica Halicka i ulica Batorego, począwszy od „kręconych słupów” aż do kościoła katedralnego, jak niemniej cała ulica Fredry, cały niemal Plac Maryacki, Halicki, cały Plac Bernardyński i więcej niż połowa ulicy Piekarskiej, literalnie były natłoczone publicznością.

Dzienniki podawały liczbę osób, które wzięły udział w pamiętnym tym pogrzebie na 40 do 50 tysięcy, t. j. połowę niemal ówczesnej ludności Lwowa.

Ile w tem było ścisłej prawdy — trudnoby orzec.

To tylko pewna, że gdy koniec orszaku znajdował się jeszcze na Placu Bernardyńskim, począ-

tek jego oddawna był już na cmentarzu Łyczakowskim.

Dodajmy nadto, że wszystkie balkony i okna były przepełnione widzami, dodajmy, że z bardzo wielu domów powiewały żałobne sztandary, a będziemy mieli pewne wyobrażenie o świetności całego pochodu.

Za bramą domu, w którym mieszkał Goszczyński, wzięli na swe barki ciało nieboszczyka członkowie Rady Miejskiej, a między innymi dyrektor galicyjskiej Kasy oszczędności, Franciszek Zima, i europejskiej sławy matematyk, prof. Wawrzyniec Żmurko, ojciec zaszczytnie znanego artysty malarza.

W połowie dzisiejszej ulicy Batorego obarczyli ramiona drogim tym ciężarem, zmieniając się wciąż po kolei, młodszy przeważnie literaci, a mianowicie: Teofil Merunowicz, Bolesław Czerwieński, Bolesław Spausta, Fr. Ksawery Martynowski, dr. Julian Grabowski, Jan Grzegorzewski, Włodzimierz Podgórski, Teofil Szumski, A. B. Brzostowski i t. d.

Osoby, niosące trumnę, jak również całe duchowieństwo, cechy, korporacje etc., otaczał łańcuch ochotniczej straży ogniowej, której liczni członkowie, wzięwszy się mocno za ręce, starali się utrzymać porządek.

Mimo tego jednak ścisk był tak wielki, że cały pochód musiał się kilkakrotnie wstrzymywać zupełnie, a przybył dopiero na cmentarz Łyczakowski we dwie i pół godziny, gdy w każdym innym czasie tę samą drogę odbyćby można pieszo w ciągu najwyżej trzech kwadransów.

Tuż za samą trumną postępowali między innymi: August Bielowski, Józef Supiński, Adam ks. Sapieha, Włodzimierz hr. Dzieduszycki, Agaton Giller, Kornel Ujejski, Kazimierz hr. Stadnicki, Jan Krechowicki, dr. Władysław Wisłocki, Waleryan Podlewski, Alfred Młocki, Franciszek Smolka, Florian Ziemiałkowski, Władysław hr. Badeni (ojciec Kazimierza i Stanisława), Wiktor Wiśniewski, Mikołaj Epstein, Jan Nepomucen z Oleksowa Gniewosz, Józef Rogosz, Jan Lam, Jan Dobrzański, Henryk Rewakowicz, Władysław Łoziński, Wilhelm Leopolski, Władysław Bełza, Władysław Ordon, Wojciech Grabowski, i wiele innych jeszcze znakomitości lwowskich, których w tej chwili nie mogę sobie przypomnieć.

Przed trumną postępował *in pontificalibus* celebrujący ksiądz infułat Mossing, otoczony licznym gronem kanoników kapituły łacińskiej i ormiańskiej; dalej: O.O. Dominikanie, Karmelici, Bernardyni, Franciszkanie i bardzo liczny kler świecki.

Tuż przed duchowieństwem niesiono na węgłowiach wspaniałe wieńce: od Polek, literatów, dziennikarzy, drukarzy, młodzieży uniwersyteckiej, słuchaczy Akademii technicznej, gimnazjum polskiego, wyższej szkoły realnej, młodzieży handlowej, Towarzystwa Tatrzańskiego etc.

Na samem czele pochodu szedł oddział ochotniczej straży ogniowej; za nim postępowwały bractwa kościelne z chorągwiami ze wszystkich lwowskich kościołów; dalej, stowarzyszenie rzemieślników: „Gwiazda” ze ślicznym sztandarem, zdobnym Matką Boską; Towarzystwo drukarskie, Towarzystwo mło-

dieży handlowej, Galicyjskie Towarzystwo Pedagogiczne, wszystkie cechy miejskie, młodzież gimnazjalna i szkół realnych, słuchacze obu Akademij, konwenty i seminaria, Towarzystwa ubezpieczeń, reprezentanci banków, Towarzystwo rolnicze, Towarzystwo lekarskie, Rada miejska *in gremio* ze swym prezydentem na czele, wreszcie wszyscy urzędnicy gminy.

Nad grobem — tuż obok mogiły Karola Szajnochy — przemówił naprzód ks. dr. Antoni Krechowiecki, znakomity kaznodzieja katedralny. W rzewnej a wzniosłej mowie podniósł niepospolite zasługi zmarłego i wykazał głęboko do duszy wnikającemi słowy, jak ze wszech miar szczytny dawał on z siebie przykład.

Po księdzu Krechowieckim wystąpił późniejszy poseł na sejm i do Rady Państwa, a ówczesny redaktor *Dziennika Polskiego* i znakomity mówca, Tadeusz Romanowicz, który długą swą mowę, zaimprowizowaną w zastępstwie chorego prof. Antoniego Małeckiego — rozpoczął w te słowa:

„*Ani z soli, ani z roli, ale z tego, co mnie boli, ja urosłem* — mawiał o sobie hetman, jeden z ostatnich, którego pierś zbrojna starczyła za całe armie, bo się o nią, jak o wał żelazny, rozbijały wrogów naszych najazdy. I ten oto hetman nasz duchowy, w tej trumnie złożony, powiedzieć mógł o sobie: z tego, co mnie boli, ja urosłem. Życie jego szeregiem było ciężkich prac i walk ciężkich i srogich bólów, pokonanych męską prawdziwie siłą i znoszonych ze swobodnym na ustach uśmiechem, a z walk tych, i z tych prac, i z tych bólów urosł

on nie we własnem mniemaniu, ale we wdzięcznych sercach rodaków, tak wysoko, że śmierć jego oplakują dziś miliony, a nam, żalobnie u trumny jego zebrany, ból piersi ściska i słowa zamierają na ustach, gdy raz jeszcze zmierzyć mamy doniosłość jego zasług, a nią zmierzyć i wielkość straty, jaką ponosimy.“

W dalszym ciągu porywającej swej mowy opowiedział Romanowicz zebranym tłumom życie i działalność Seweryna Goszczyńskiego i zakończył tak potężnem a pełnem młodzieńczego zapału oświadczeniem, że nie mogą się powstrzymać, by nie przytoczyć tu jeszcze choć jednego ustępu:

„Inne narody—wołał mówca, zwracając się do zwłok wieszczą — mężom takim, jak Ty, stawiają wspaniałe z kruszczów i marmuru pomniki. My, ubodzy, których... nie stać nawet na cztery ściauy dla szkolnej naszej dziatwy po wsiach — jakież Ci pomnik wzniesiemy!? Ten żal, który nam ściska piersi, gdy Cię żegnamy na wieki, ta łza, która rosi oblicza nasze, te objawy czci, hołdu i miłości, którymi zwłoki Twe otaczamy—dla Twoich zasług i poświęceń zbyt skromny to zaiste pomnik. Precz więc z tą łzą niewieścią! a nad grobem Seweryna niech się trwalszy wzniesie pomnik — ulany z kruszczu męskich postanowień i czynów!“

W miejscu tem pomimowoli ciśnie mi się pod pióro niezwykle wspomnienie.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, pogrzeb ś. p. Goszczyńskiego odbył się właśnie w tymże samym dniu i o tej samej niemal godzinie, w której przed trzema laty Tadeusz Romanowicz witał go w imieniu

młodzieży literackiej, równie świetnem przemówieniem na skromnej owej uczcie, danej dla niego we Lwowie w jednej z tamtejszych sal ratuszowych, staraniem piszącego te słowa.

A nikt z nas wówczas ani przeczuwał nawet, że we trzy lata zaledwie, przypadnie znów temuż samemu mówcy w tymże samym dniu i godzinie niemal, jak rzekłem, bolesny zaszczyt żegnania go—na wieki!

Ale wróćmy do pogrzebu.

Trzecią i ostatnią z rzędu, a niemniej świetną mowę, wygłosił, przy zapadającym już zmroku, genialny poeta i osobisty przyjaciel zgasłego wieszca—Kornel Ujejski.

Podajemy ją dosłownie:

„W pomroce niebo — z tego grobu bije blask! Zrywają się głosy, jak żałobne ptaki! Był już jeden głos potężny kapłana, i drugi gorący — obywatela. Niechże za nimi idzie i mój, mniej wymowny. Ale ten grób wymowny — z niego zaczerpnę sił. Przemówić chcę w imieniu polskich literatów i artystów, bo kraina ducha jest jedna, a w tej trumnie jeden z jej mocarzy, jeden z naszych wodzów. Nie będę opowiadał jego żywota. Uczyniono to już przede mną. Są ludzie, którzy całem swem życiem kreślą, jak gdyby jaką ewangelię—nie potrzeba jej powtarzać, a daje treść do zbawiennej dla nas nauki...

„Wzorem byłeś cnoty i czystości, walczyłeś za prawdę i cierpiełeś dla niej!

„Byłeś twardy, surowy, niezależny! Jednego tylko znałeś Pana. O! jak biedny, choć w talent

bogaty — jak niedoleżny, choć potężny, który nie uznaje nad sobą Arcymistrza: Tego—tam!

„Służmy dobru, prawdzie i pięknu — to trójca nierozdzielna, to dogmat sztuki, mądrości bożej! Sta-rą modlitwę Doryjczyków: „Daj nam dobro przez piękno!“ — jabym przestawił inaczej: „Dawaj nam piękno tylko dla dobra i prawdy!“ Kto zlepkim gliny—błądzi. Niema tu na ziemi nieomylnych. To, co łagodzi nawet złe: to szczerłość i prostota. Błądzimy i mylimy się często i bardzo, bracia literaci i artyści. Niechże przynajmniej to, co dajemy, będzie zawsze szczere. Niech idzie z ducha, a opamiętanie nastąpi. Hańba temu, co trymarczy swoim talentem, co dla własnego interesu schlebia złym namiętnościom ludzkim! Hańba tym, co nie powiadają, czego ich dusza chce, ale to, czego inni chcą.

„Spocząłeś, drogi mistrzu, nie doczekawszy tryumfu dla myśli Twojej. Ale Ty szedłeś w tłumach wielkich—my idziemy samotniejsi.

„Oto dom cichy, wązki, dom—ostatni. Pokój temu domowi, a nam—dalszy bój!“

Po natchnionej mowie Kornela Ujejskiego i po odbyciu dalszych ceremonij pogrzebowych, doborowy, chór akademików odśpiewał *Salve Regina* Statlera, poczem Władysław Belza złożył na trumnie, w imieniu literatów, laurowy wieniec. Po nim złożono mnóstwo innych. Platon Kostecki, współredaktor *Gazety Narodowej*, w imieniu dziennikarzy; akademik St. Starzyński—w imieniu młodzieży obu Akademij; Wł. Szmitt—w imieniu Polek; Izydor Kopernicki — w imieniu Towarzystwa Tatrzańskiego;

Mikołaj Epstein—w imieniu dawnych swych towarzyszków, skazańców syberyjskich.

Za tymi posypała się reszta pozostałych wieńców, jak równie mnóstwo przyniesionych przez lwowianki żywych kwiatów, którymi literalnie przepelniono wkrótce grób.

Przed opuszczeniem cmentarza rozdano obecnym kilka tysięcy litografowanych portretów zgasłego wieszacza, a w kilka lat dopiero później—jeśli się nie mylę—stał na jego grobie wspaniały pomnik, dla którego prof. Marconi zdjął był pośmiertną maskę nieboszczyka, a który obecnie należy do cenniejszych dzieł sztuki, zdobiących cmentarz Łyczakowski.

Ze sprawą też rychłego wzniesienia dla niego pomnika związało się wówczas wydawnictwo broszury z portretem zmarłego (nawiasem mówiąc: nad wyraz lichym), opisem jego pogrzebu i wygłoszonymi na nim mowami, a następnie projektowane wydawnictwo wszystkich dzieł Goszczyńskiego, które miały objąć mnóstwo nieznanych jeszcze jego utworów, gdyż, jak się okazało po przejrzeniu rękopisów, znalazło się między nimi wiele nigdzie dotychczas niedrukowanych jeszcze artykułów i rozpraw z dziedziny estetyki, filozofii i literatury, jak nie mniej wiele pamiętek i listów, ściągających się do stosunku ze Słowackim, Mickiewiczem, Towiańskim i t. d. Był także—jak zapewniał mnie jeden z najbliższych przyjaciół nieboszczyka, Agaton Giller — pamiętnik Goszczyńskiego z kilkuletniego pobytu jego we Lwowie (1872—1875); był nieskończony poemat: „Bitwa pod Grünwaldem;” było kilka frag-

mentów obszernego poematu: „Kościelisko,” i co najważniejsza może, był cały tom równie niedrukowanych nigdzie poezyj Goszczyńskiego, co autor sam własnoręcznie zanotować miał na okładce. Rękopis tego tomu uważał Goszczyński oddawna za zginiony. Zwrócono mu go z Warszawy w roku dopiero 1869. Są to prawdopodobnie te same poezye, o których, jeśli dobrze pamiętam, Maurycy Mochnacki wspomina z wielkiem uznaniem w dziele swem „O literaturze XIX wieku,” a które właśnie miał zamiar wydać.

ALEKSANDER GROZA.

Było to jakoś w ostatnich dniach października 1869 roku.

Bawiłem wówczas w Kamieńcu Podolskim, gdzie mieszkał też ongi czcigodny autor „Oficyalisty“, Antoni Pietkiewicz (Adam Pług), który, wiedząc, iż wyjeżdżam na czas dłuższy do Żytomierza, włożył na mnie obowiązek serdecznego pozdrowienia Aleksandra Grozy. Z przyjemnością przyjąłem to zlecenie, a wkrótce po przybyciu do Żytomierza, pośpieszyłem odwiedzić naszego pieśniarza.

Zajmował on wraz ze swą rodziną dom pani S., przy ulicy Wilskiej. Znalazłszy się już w przed-sionku, zawahałem się chwilę, w którąby udać się stronę. Z po za drzwi, prowadzących widocznie do salonu, płynęły słodkie dźwięki tęsknej a uroczej melodyi... Grała to właśnie, chlubnie potem znana fortepianistka, panna Marya Grozówna, córka poety.

Po za drugimi znów drzwiami zaczął ktoś drżącym głosem deklamować jakąś piosenkę...

Wątpliwość rozstrzygnęła się natychmiast. Byłem już pewny, że to głos Grozy.

Zapukałem lekko do drzwi.

Nie odpowiedział mi nikt.

Powtórzyłem pukanie.

— A proszę, proszę bardzo — odezwano się tym razem.

U stołu, zarzuconego kilkunastu księgami i mnóstwem różnych szpargałów, siedział zgarbiony pracą starzec... Na smętnem jego obliczu malowało się dziwne jakieś zwątpienie i gorycz. Nie widziałem go już więcej nigdy w tak bolesnem usposobieniu. Ujrawszy mnie wchodzącego, podniósł się zwolna i wyprostował. Mogłem dopiero teraz przypatrzyć mu się lepiej. Wzrostu średniego, twarzy pociągłej i sympatycznej, spojrzenie miał łagodne, czoło dość wysokie, nos lekko orli, a typ całej postaci, jakby cudzoziemski, bo wąsów i brody nie nosił wcale.

Postąpiłem ku niemu bliżej. Objaśniwszy go kilku słowy, kto i z kąd jestem, z czem i od kogo przybywam, doznałem nadspodziewanie serdecznego przyjęcia.

— Powiedz-że mi pan teraz, co dzieje się z Pługiem? Nie widziałem go już oddawna, a ze wszech miar radbym go ujrzeć i pocieszyć... Lecz to daremnie—dodał, niby zastanawiając się głębiej—cios tego rodzaju, jak zgon ubóstwianej małżonki, czas tylko jeden zdoła nieco złagodzić. No, ale jakże mu zresztą powodzi się?

— Obecnie jest on nauczycielem prywatnym u państwa S. Ludzie to zamożni i zacni, więc wynagradzają jego trudy, jak mogą najhojniej, a co ważniejsze, otoczyli go czcią i prawdziwym współczuciem. Kamieńczenie zaś chlubią się posiadaniem w swem gronie człowieka i pisarza takich zasług.

— I zasłużył on na to bezwątpienia. No, a z tutejszych literatów poznałeś pan już kogo? — zapytał po chwili.

— Dotąd poznałem tylko przedwczoraj p. Jana Prusinowskiego.

— A Janowicza, Gallego, panią Adelę Hanićką?

— Ach, prawda! Janowicza poznałem także. Dziwny to człowiek. Mizantrop, jakich mało, a jednak jest coś, co pociąga ku niemu pomimowolnie.

— Nieszczęśliwy to tylko człowiek i nic więcej. Jako powieściopisarz lub poeta, numizmatyk lub muzyk — złożył dowody zdolności niepospolitych. Cóż, kiedy je zwichnął w zarodku, targany bezlitośnie tysiącem burz i niepowodzeń...¹⁾

— Co się zaś tyczy d-ra Gallego²⁾, wyznam panu otwarcie, że — obawiam się go nieco...

— A toż znowu dla czego?

— Zapewniało mnie wielu, iż niepodobna znaleźć człowieka, bardziej tchnącego sarkazmem i ironią...

¹⁾ Wykaz prac Andrzeja Janowicza, acz bardzo niedokładny, ob. u Estreichera,

²⁾ Znanego w literaturze pod pseudonimem Edwarda Maryana.

— „Nie taki dyabeł straszny, jak go malują.“ Idź pan doń śmiało, a przedewszystkiem idź pan do Hanickiej! ¹⁾. Poetka to całą duszą i sercem. Czytałem jej wiele utworów. Są między nimi prześliczne. Drobne to wprowadzie perełki, lecz cenne. Te, które już znamy z *Tygodnika Ilustrowanego*, nie dorównywuja bynajmniej tym, o których mówię. Ale wracając do rzeczy, staraj się pan poznać Hanicką koniecznie. Gdy zechcesz, mogę ci nawet znajomość tę ułatwić. Przyobiecała mi ona napisać wiersz do „Albumu“. Weź pan zatem to „Album“ — dorzucił z uśmiechem, podając mi je ze stołu—i pójdz z niem do niej. Będzie to chyba najlepszą rekomendacją...

— Dziękuję panu serdecznie. Skorzystam z niej niewątpliwie, a skorzystam tem chętniej, że będę miał sposobność przejrzeć pańskie „Album“, które, jak widzę, prawdziwym jest skarbem.

— Znajdziesz pan w niem istotnie nie jedną rzecz ciekawą, niejedno imię nam drogie. Żałuję tylko bardzo, że przed kilku laty zaginęło drugie moje „Album“, w którem znalazłbyś pan z pewnością niejedną pamiątkę o wiele, jeszcze ciekawszą...

— Jak najszczerzej jednak wdzięczny panu jestem i za to.

— Przyjm-że pan jeszcze odemnie, ale to już dla siebie, tę oto piosenkę... Przetłómaczyłem ją właśnie dzisiaj.

I tymże samym, drżącym nieco głosem, który słyszałem w przedsionku, przeczytał:

¹⁾ Adela z Paszkowskich 1-mo *voto*: Hanicka, 2-do *voto* Konieczna.

*Das Alpenhorn.**Gedicht von Heinrich Proch.*

(Przekład Aleksandra Grozy).

Śpiew alpejskich rogów z gór
 Tęsknie, rzewnie, mile płynie,
 Leci z echem wyżej chmur,
 I aż na niebiosach ginie.

Inne chmury, inne kwiecie
 Ten uroczy świat tu ma;
 Ale w mej miłości świecie
 Tylko jedna boleść trwa!

I przebiegam Alpów dał,
 Aby roznieść dumę ciemną;
 Lecz mój smutek i mój żal
 Wiecznie przy mnie, wiecznie ze mną.

I alpejskich rogów brzmienie
 Smutnie dzwoni w duszy mej,
 Bo me szczęście, me zbawienie
 W tobie i w miłości twej!

Skończywszy, ujął pośpiesznie leżące obo pióro i na ofiarowanym mi brulionie, który dotychczas przechowuję w swem Albumie, dopisał: „Na pamiątkę p.***. Groza Aleksander. Dnia 2 listopada 1869 roku. Żytomierz“.

Z rozrzewnieniem podziękowałem mu za okazaną mi sympatyę i ośmielony serdecznem tem przyjęciem, poprosiłem go, by raczył mi jeszcze odczytać którykolwiek z najnowszych a oryginalnych swych utworów.

— Jak najchętniej. Piszę właśnie teraz „Misteryum“ w 2 częściach z podań narodowych p. t.:

„Twardowski“. Przeczytam panu zeń kilka wyjątków.

.

Słuchałem go pilnie. Z przykrością jednak wyznaję, że żaden prawie ustęp czytanego poematu nie przypomniał mi dawnego autora tylu pięknych utworów, tak słusznie niegdyś cenionych przez krytykę. Były i tam wprawdzie miejsca dość piękne, lecz całość, o ile ją mogłem z komentarzy autora odczuć i zrozumieć—nie zadowoliłaby nikogo. Zużyty zresztą temat, który sobie był obrał sędziwy poeta, wymagałby chyba genialnego talentu, aby zdołał dziś zająć.

Bądź co bądź wszakże z wdzięcznością wysłuchałem odczytanych mi fragmentów, a złożywszy raz jeszcze serdeczne autorowi dzięki, pośpieszyłem niebawem do siebie, by przejrzeć co rychlej pożyczone mi „Album“, które w tej chwili zajmowało mnie najbardziej.

Nie będzie też zapewne obojętnem i dla naszych czytelników zaznajomić się z niem bliżej, zwłaszcza, że postać Aleksandra Grozy, jako zajmująca wybitne stanowisko w plejadzie poetów tak zwanej „Szkoły Ukraińskiej“, zasługuje na to niewątpliwie, by i tem wszystkiem, co pozostaje z nią w pewnym związku, interesowano się szczerze.

Wspomniane tedy „Album“ rozpoczyna szereg fotograficznych kopij in 4-to z dzieł Wiktora Brodzkiego. Znakomity ten rzeźbiarz i zapalony aeronauta, rodem z Wołynia, ofiarował „Na serdeczną pamiątkę Aleksandrowi Grozie“ utwór swój „*Fuga di*

Pompei", oraz fotografie dość upowszechnionych studyów rodzajowych, znanych pod nazwą: „Jaś płacze—Jaś krzyczy—Jaś się śmieje“. Wślad za tem następuje „Obrazek z Syberyi“ T. H. Czap-
 skiego: piękny ustęp z „Naszej komedyi“—Żegoty Brotosza, wpisany tu „Na pamiątkę Aleksandrowi Grozie przez Ignacego Zenowicza“; dalej: „Pamiętka poznania się w 1831 r., a razem błogosławienia związku małżeńskiego“ z podpisem: „Roku 1859, Września 17-go dnia. Ksiądz Romuald Laudański“; i wreszcie następujący wiersz Antoniego Edwarda Odyńca do Aleksandra Grozy w dzień poświęcenia Księgarni Spółki Żytomierskiej¹⁾:

Bracie po sercu, bracie po lutni,
 Bracie po wspólnej idei!

¹⁾ Mam właśnie przez sobą nader ciekawe, a rzadkie dziś „Sprawozdanie, złożone Stowarzyszeniu Księgarsko-Wydawniczemu w Żytomierzu dnia 22 kwietnia 1859 r.“ przez Karola Kacz-
 kowskiego. Uderza w niem przedewszystkiem ta okoliczność, iż J. I. Kraszewski, żadnej nie miał wiary, aby zacne to przedsięwzięcie, którego najczynniejszym propagatorem i twórcą był Groza, mogło się kiedy pomyślnie rozwinąć. Mimo to jednak gorąco uczyć należy niezmordowane w tym celu starania i zabiegi Aleksandra Grozy, gdyż jednym z jego marzeń było nie tylko niżyc „w niepraktykowany dotąd sposób“ ceny wszystkich ksiąg polskich, lecz nadto rozszerzać wszelkimi środkami oświatę, ku czemu już zresztą dzielnie się przyczyniały powstałe za jego inicjatywą dwie wielkie księgarnie w Kijowie i Żytomierzu, oraz Stowarzyszenia Księgarsko-Wydawnicze wraz ze swą drukarnią i 12 filiami prowincjonalnemi. Czynność więc Grozy w ciągu dwóch lat niespełna zdumiewającą była zaprawdę. I gdyby nie rozterki i zawiść ludzi złej woli, oraz inne okoliczności, działalność jej błogosławione wywarłaby skutki.

Przecz w oczach twoich tak jakoś smutniej,
 Jakby w pomroku nadziei?
 Czyż tylko łoskot bębnow wojennych,
 Tylko blask gromów działowych,
 Budzić ma ludzkość z snów jej kamiennych,
 Narody z grobów wiekowych?
 O! niech raz tylko miecz Archaniola
 Szatana przełamie w boju,
 Wieść dalej boskie dzieło już zdoła
 I cichy Anioł pokoju.
 Oręże Jego — światło i miłość;
 W nich Jego siła i władza....
 Przez nie prostuje myśli zawilość,
 I serce w jedność zgromadza,
 A gdzie się ludzie w Lud, w Ludzkość sprzęga
 Ku prawdzie i służbie Bożej,
 Bóg czyn ich swoją wesprze potęgą,
 Cud z Piotrowinem powtórzy.
 O, i szczęśliwy, kogo obierze
 Ów Anioł za swe narzędzie!
 Kto tak serdecznie; gorliwie, szczerze,
 Jako Ty służyć mu będzie.
 Ty, co sam wyższem wiedzion natchnieniem
 Chcesz, by i bracia uboga
 Ogrzana czystem wiary promieniem,
 Poczuła prawdę i Boga.
 Bóg więc błogosław dobrej Twej chęci!
 A łaska Jego opieki,
 Jak kapłan słowem, tak niech poświęci
 Duchem Twe dzieło na wieki!

W Wilnie, 4 sierpnia 1859 r.

Po serdecznem tem życzeniu A. E. Odyńca, znajdujemy następnie: gustowny bukiet kwiatów, ry-sowany w 1857 r. przez żonę poety, Adelaidę Gro-zową, oraz portret fotograficzny marszałka Grom-nickiego, litografię senatora-kasztelana, Franciszka

Wężyka, z zakładu M. Fajansa, podpisaną słowami: „Pamiętka przyjacielska, r. 1860—Fr. Wężyk“ i narreszcie: kilka włosów Adama Mickiewicza, ofiarowanych Aleksandrowi Grozie przez J. I. Kraszewskiego wraz z pięknym jego wierszem, który tu równie podajemy w całości:

Tych kilka włosów z świętej wieszczą skroni,
 Zbielałych w walce, wypelzłych w cierpieniu,
 Niechaj ta księga skryje i osłoni,
 Niechaj przyszłemu odda pokoleniu...
 Kto wie o jego życiu, nadziejach i mękach?
 Może włos ten spoczywał na Maryli rękach;
 Może go krwawy pracy pot oblewał,
 Gdy z krzyża męczeńskiego naszą boleść śpiewał?
 Może zadrżały na płomiennej głowie,
 Gdy dzieje nasze w obcej głosił mowie;
 Może zbielały w tej straszliwej chwili,
 Gdyśmy oprócz nadziei wszystko utracili?
 Ty Mistrzu ukochałeś, pojąłeś i w ślady
 Szedłeś za nim i idziesz lirniku nasz drogi —
 Przyjm-że i włos ten blady i wiersz ten mój blady,
 Dar, który z serca z Tobą rozdziela ubogi

J. I. Kraszewski.

Pod wierszem Kraszewskiego, oraz znanym ustępem z „Dziadów“: „Pamiętam, kiedy cyprys przyjąłem z jej ręki“... widzimy gałązkę cyprysową, okalającą włosy wielkiego wieszczą, a tuż za nią dość duży jego portret, kilka słów księdza Sykstusa Jasiewicza, „Kaplicę w Capri“—rysunek J. I. Kraszewskiego i parę drogich pamiątek po ś. p. Tomaszu Zanie, jak np.: pierścień jego włosów, autograf (ofiarowany naszemu poecie przez żonę Zana i jego synów 8 czerwca 1859 r. w Wilnie) p. t.:

„Stara piosnka odmłodniona na głos Jej Mość Panny Brygidy Świętorzeckiej“, tudzież dobrze znane „Tryolety“ z następującą dedykacją: „Czcigodnemu Aleksandrowi Grozie tę piosnkę przepisuję na miłą pamiątkę poznania się naszego w Wilnie, polecając się wraz z synami: Wiktorynem, Abdonem i Klemensem, sercu a modlitwom Jego — Brygida z Świętorzeckich Tomaszowa Zanowa“.

Dalej spotykamy: znacznej wielkości portret Tomasza Zana; *Requiem*, na śmierć tegoż wraz z nagrobkiem Jana Czeczota przez A. E. Odyńca; kilka słów Antoniego Pietkiewicza (Adama Pługa), Wiktora Łodzi Brodzkiego i Apollona Nałęcz Korzeniowskiego; fotografię z malowidła Tadeusza Goreckiego: „Chrystus na Krzyżu“, ofiarowaną: „Na pamiątkę kochanemu ziomkowi Aleksandrowi Grozie. Tadeusz Gorecki. Paryż, 21-go października 1875 roku“; kopię jednego z aniołków „Madonny Sykstyńskiej“, ofiarowaną w Paryżu Aleksandrowi Grozie przez późniejszego dyrektora Muzeum Zakładu Ossolińskich we Lwowie, Edwarda Pawłowicza; kilka słów Ignacego Knolla i d-ra Fortunata Nowickiego; „Sołowejko“, wiersz Michała Jackowskiego (Kuźmy Wołyniaka): akwarelę Stefana Baryczki i wreszcie: włosy ś. p. Jerzego Grozy, eks-oficera z 1830 r., a brata Aleksandra, wraz z listem, opisującym ostatnie jego chwile. Zmarł on na obczyźnie, jako zarządca fabryki cukru, położonej o godzinę drogi od Orleanu w wiosce Saint-Denis, gdzie został zabity przez własną nieostrożność jedną z tamtejszych machin parowych.

W ślad za smutną tą pamiątką następuje:

wiersz Kaspra Maszkowskiego; artykuł Tomasza Bułhaka p. t. „Etyczne pojęcie sprawiedliwości”; parę słów prozą: Jerzego Brynka (z datą 18 czerwca 1859 roku, Wilno), Anicentego Renier’a, Antoniego Bądzkiewicza, Antoniego Orłowskiego i Prospera Chwaliboga, oraz następujący wiersz Ignacego Chodźki:

Kilka słów tylko, gościu nasz drogi,
W imieniu Litwy, w ziomeków imieniu,
Kilka słów wdzięcznych Twojemu pieniu,
Kilka słów szczerych Twemu wspomnieniu,
Na ten czas dla nas miły i błogi,
Gdy na litewskim tutaj zagonie
Braterskie z Tobą jednoczym dłonie!
O, Bóg Ci zapłać za święte słowa,
Coś nieznanemu słał z Częstochowa! (sic)
O, Bóg Ci zapłać i za tę leżkę,
Którąś błagając Matkę niebieską,
Uronił pewnie w cichej modlitwie.
Więc te słów kilka niechaj na wieki
Czucia me wdzięczne przypomną Tobie:
A kiedy wkrótce zawrę powieki ¹⁾.
Powtórz tę leżkę na moim grobie!

Ignacy Chodźko.

1859 r. maja 23 dnia, Wilno.

Tuż za wierszem sympatycznego autora „Obrazów Litewskich”, spotykamy znów wiersz Juliana Horaina; „Skargę” i „Modlitwę Artysty” L. Szajerowicza; „Kujawiaki” Kazimierza Łady; dwa własnoręczne rysunki i wiersz w języku rosyjskim Pa-

¹⁾ Przeczucie Chodźki ziściło się... Zgaśł on bowiem, jak wiadomo, we dwa lata po napisaniu niniejszego wiersza.

wła Kukolnika (z datą: 6 maja 1859 roku); portret Mazepy; „Szczątki ruin zamkowych na górze Królowej Bony w Krzemieńcu” — rysowane z natury przez J. Sobkiewicza; portret fotograficzny Klemensa Podwysockiego i następujący jego wiersz:

Jam nie poeta, lecz prawda Boża
 W utworach braci lub w czynie,
 I mój nierzadko duch rozwiemoża,
 Aż w rymach serce mi spłynie.
 Rodakul Piewco w Bogu i z Boga!
 Nie okłask duch Twój podsycą,
 Jeno powabna, rzewna i błoga
 Z dziatwą swą nasza ziemical
 Tyś najwierniejszy pono z jej dzieci:
 Bo czy to w chmurach Jej nieba,
 Czy to pogodne słońko Jej świeci,
 Ty wiesz, iż serca Jej trzeba...
 Z serca więc^o bracie, z serca miłości
 Ty wciąż Jej śpiewasz! I ninie,
 Gdy świat nam pieśni nawet zazdrości,
 Ty śpiewasz dla niej jedyniel
 Tyś jako istny boży lutnista
 Pojął, czem piewca krajowy!
 I nie opinia szatka a mglista,
 Lecz głos Cię krzepi jehowyl
 Śpiewaj więc z Bogiem. O! sądy świata,
 Czyliż sięgają do czoła,
 Które czystością z niebem się brata
 W kałuże patrzeć nie zdoła..?
 Ach, biada—biada nam wszystkim niniel
 I pieśń się jakoś nie splata!
 Acz piersi nasze—to nie pustynie,
 Lecz krwawy ołtarz dla świata!
 Ty budź, o piewco! naszego ducha:
 Śpiewaj—zawtórzmy my Tobiel

A Stwórca pono z miłością słucha
Pieśni śpiewanych na grobie!...

26 lutego 1866 r. Żytomierz.

Obok powyższego wiersza, spotykamy tu jeszcze: kompozycję muzyczną głośnego niegdyś gitarzysty, Marka Sokołowskiego; wiersze i piosenki Stanisławy Szajerowiczowej; kilka pięknych ilustracji, do „Hrycia“ Aleksandra Grozy przez Prospera Gorskiego; dwuwiersz łaciński A. Thiandier'a; wiersz Antoniego Ochockiego—syna znanego autora „Pamiętników“, Jana Duklana—ofiarowany „Na pamiątkę Szanownemu Aleksandrowi Grozie, w którego towarzystwie piszący te wyrazy wiele chwil przyjemnych spędził. 29 listopada 1863 r. Żytomierz“; dalej: akwarelę i rysunek Wincentego Dmochowskiego z Wilna; portret średniowiecznego rycerza, ofiarowany „na pamiątkę Aleksandrowi Grozie“ przez Michała Elwira Andriollego, czterowiersz Andrzeja Janowicza i hymn *Agnus Dei* z muzyką tegoż: portret ułana polskiego, rysowany „dla Aleksandra Grozy“ przez pannę Zofię Galli, córkę Edwarda Maryana; wiersz Celestyna Nosalskiego (Aurelego Prawdzica); piękny rysunek Erazma Fabiańskiego, oraz наконец pełen głębokiego uczucia i rzewnej tęsknoty, następujący wiersz samego Grozy:

Za długie lata, wierne kochanie
Czarnej sukienki przyjąłem szczątki;
I ta ofiara droższą mi stanie
Od co najdroższej w życiu pamiątki.
Pod nią jej serce biło kochane,
A choć nie dla mnie to serce biło,
Jednak w ten miękki jedwab owiane

Z nim razem drżało, z nim się pieściło...
 Przyjąłem — tulę na mojem łonie,
 Biciem mojego serca ogrzewam,
 Aż ze mną razem i drży i płonie,
 I łyżę me dzieli, co sam wylewam.
 Tak na mogile krzyż zapomniany,
 Gdy dłoń kochana kwiatów nie sieje,
 Otoczą ciernie, osty, burzany,
 I z niemi razem schnie i marnieje..

Otóż już i wszystko, co znalazłem wówczas w cennym tym „*Albumie*” Grozy. Od chwili wręczenia go Hanickiej, nie zdarzyło mi się więcej spotkać z niem nigdzie, choć słyszałem kilkakroć, iż wielu jeszcze z bliższych znajomych Grozy miało je później w rękę. Co gorsza, nie pomnę dziś nawet, czy zgodnie z daną obietnicą utalentowana poetka wpisała do „Albumu” Grozy ów przyrzeczony mu wiersz. Musiało to jednak nastąpić niechybnie, skoro nawet i mnie nie poskąpiła aż dwóch wdzięcznych wierszyków, również przeznaczonych do *Albumu*, będącego dziś zbiorem drogich pamiątek osobistych.

Pierwszy z nich p. t. *Podziękowanie za piosnkę* jest odpowiedzią na skreślony jeszcze w roku 1869 wiersz mój do Hanickiej. Oto ta odpowiedź:

Dziękuję Panu i witam w nim brata,
 Brata po smutku i po dźwięku lutni —
 Gdy duszą tęskniąc, śpiewamy choć smutni,
 Sądźmyż o sobie już nie według świata.
 Ja niosłam lutnię. Ja czułam jak spadła
 Gałąź cyprysu na jej struny złote —

Więc odtąd w cieniu chcę spłakać tęsknotę,
 Patrząc ku niebu, gdzie ma gwiazda zbladła!
 Jam odtąd smutna tęsknotą gołębi,
 Każdy się kwiatek u mej skroni łzawi,
 Lecz łza, jak perła: gdy znużą ciekawi,
 Milcząc, przypada tam do serca głębi,
 I już nie skarży... Tak cicho już świeci,
 Że chyba anioł z ponad fal promienia
 Łzę tę podsłucha wśród nocy milczenia,
 I zadumany znów do gwiazd poleci.
 Dlatego milsza mej duszy jest cisza,
 Milsza jest piosnka, co rzewnością smuci —
 Wszak żal spoczynku mych grobów nie kłóci,
 W życiu on wzmacnia, a na zgon rozgrzėsza,
 Bo smutek święty; namaszcza on wieszczę,
 Wznosi do ofiar, do wytrwałej pracy,
 My znać ze smutku, wśród obcych rodacy —
 Przeto za piosnkę dziękuję raz jeszcze.

Żytomierz, 14 Listopada 1869 r.

Drugi z kolei wiersz tej, tak niesłusznie za-
 pomnianej dziś poetki, został ofiarowany piszącemu
 przed wyjazdem do Galicyi na studia uniwersytec-
 kie, a nosił tytuł:

ŻYCZENIE.

Szczęść Boże w pracy! na Bożej niwie
 Żniwarze stoją przy złotym plonie,
 I brzmią życzenia po każdej stronie:
 „Szczęśliwie żnijcie — szczęśliwie“!
 Lecz będzież życzeń harmonia zgodna
 Błogosławieństwem dla pracownika?
 Wie Ten, co z wyżyn przyszłość przenika,
 Czy chmurna, czyli pogodna.
 Szczęść Boże w pracy! I szlę w obłoki
 Dla Ciebie cichej modlitwy słowo —

I wznoszę oczy w tę dal gwiazdową,
By zbadać Boże wyrokil

Bo grzmiać zawisła chmura złowroga,
Nad statkiem bratnim w chwili rozbicia.
Bo rozwiązanie dramatu życia
Zależy — tylko od Boga!

Bo my rozbitki! w ślad za drugimi,
Kto wie, czy w nurtach nie pójdziem zginąć?
Kto wie, gdzie w walce musimy przypłynąć,
Do nieba — czyli do ziemi?

Chrystus ukochał. I godłem przeto,
Niech ci przez miłość będzie: ofiara,
Orężem w boju: niezłomna wiara,
A dobro braci — podniecia!

Niech z modrych wyżyn gwiazda nadziei,
Ta, co trzech mędrców wiodła ze Wschodu,
Wskaże ci Boży świt dla narodu,
Kolebkę zbawczą idei.

To me życzenia. Ufnością w dołę
Nie natchnę... Tyle widziałam w życiu
Uczuć i kwiatów zgasłych w ukryciu,
Że milcząc — modlić się wolę...

Lecz pomnij — pomnij! Kto w niebo płynął
Modlitwą cichą, jak leśni ptacy,
Kto w znoju czoła wytrwał przy pracy —
Ten w dziejach życia nie zginął!

Żytomierz, w Lipcu 1870 r.

Przebaczenie, iż kilka tych słabych rysów do charakterystyki szlachetnego wizerunku autora: *Dum i Powieści*, pozwoliłem sobie zakończyć utworami niemającymi żadnego z nim związku. *Mea culpa...* Ale jakże to trudno częstokroć oprzeć się urokowi osobistych naszych wspomnień z lat młodości, a tak zawodnej najczęściej, wiary naszej w przyszłość!...

WŁADYSŁAW ORDON.

W pierwszej połowie listopada 1871-go roku, otrzymałem od Władysława Belzy następujący krótki liścik, datowany z Poznania, dnia 10-go tegoż miesiąca:

Drogi mój Olesiu!

Załączony wycinek prędeż Ci wytłómaczy obecny stan mój, aniżeli listownie mógłbym Ci go opisać. Policya pruska wygnała mnie i Ordoną, jako dwóch „agitatorów polskości“ w Poznaniu. Od dziś za tydzień będę we Lwowie pociągiem wieczornym. Czekaaj na kolei! Twój

Wł. Belza.

Wspomnianym owym „wycinkiem“ było następujące lakoniczne zawiadomienie jednego z tygodników poznańskich, wydrukowane w nim dużemi czcionkami:

Od Redakcyi.

„Z dniem dzisiejszym występują z redakcyi „Tygodnika Wielkopolskiego“ dwaj nasi od pierw-

szego zawiązku pisma, współpracownicy-poeci: Władysław Belza i Władysław Ordon. Z boleścią żegnamy naszych niezmordowanych pomocników, pewni jednak, że gdziekolwiek ich los rzuci—pracami swemi zasilać nas nie przestaną”.

Wiadomość zawarta w krótkim liście Belzy i w załączonym doń wycinku — nie była dla mnie niespodzianką. Doniosły już o tem telegramy,

Oczekiwałem tedy z wielką niecierpliwością zapowiedzianego przybycia Władka Belzy, któregośmy wszyscy kochali serdecznie, a z którym podczas poprzedniego pobytu jego we Lwowie, miałem sposobność zawiązać bliższe stosunki.

Z oczekiwaniem tym jednak Belzika -- tak go zazwyczaj nazywaliśmy poufnie — łączyła się i nie-mała ciekawość, bo pomimo, iż nie wspomniał o tem w swym liście, zdawało mi się ciągle, że musi z nim do Lwowa przybyć koniecznie i Ordon, którego jeszcze wówczas nie znałem osobiście, a z którym dziwnym zbiegiem okoliczności i los i ludzie łączyli wciąż Belzę, choć niezbyt byłoby łatwo znaleźć dwie jednostki, któreby mniej ze sobą sympatyzowały, a bardziej się różniły charakterem i talentem.

Kto wszakże pomni te czasy, wie o tem dobrze, iż niepodobna było prawie spotkać jakiej wzmianki w pismach galicyjskich lub poznańskich, dajmy na to o Belzie, aby nie było w niej zaraz mowy o Ordonie i *vice versa*. Wypływało to zapewne stąd, że obaj, jako poeci, wystąpili równocześnie na widownię literacką, że obaj rozpoczęli swe debiuty od występów w „Przeglądzie Tygodniowym,” obaj po-

tem opuścili Warszawę, obaj zamieszkali później w Poznaniu, obaj zostali stałymi współpracownikami „Tygodnika Wielkopolskiego,” i że obaj наконец znów znaleźli się razem—we Lwowie. Przyznać też potrzeba, iż mimo wzajemnej ich do siebie niechęci, Belza przynajmniej odzywał się zawsze z wielkiem uznaniem o świetnych zdolnościach Ordon, zachwycał się nieraz talentem jego poetycznym i krasomówczym, ale... z tem wszystkiem — nie lubił go szczerze. Bądź co bądź jednak, słysząc o nim tyle, zachwycając się równie nie jednym z jego utworów — pałałem niecierpliwością poznania go jak najrychlej.

Nadszedł wreszcie dzień 17 listopada r. 1871, w którym miał przybyć Belza, a wraz z nim, prawdopodobnie i Ordon.

Pobiegłem co tchu na dworzec kolejowy. Towarzyszył mi ktoś jeszcze, ale już nie pomnę kto: zdaje się, że Jan Grzegorzewski, czy też nieodżałowany Stach Grudziński.

Zaledwie weszliśmy na peron, ujrzelśmy zbliżający się pociąg. Gdy stanął, wyskoczył zeń żywo piękny, hoży, rumiany, złotowłosy młodzieniec—był to Władek Belza.

Powitaliśmy go serdecznie.

Obejrzałem się dokoła — nie postępował za nim nikt.

— Władku!—zawołałem rozczarowany.—A cóż to, nie przywiozłeś nam Ordon?

— Skądżeś to sobie uroił, mój drogi, że ja go wam przywiozę? Być może, iż przyjedzie tu później, ale tymczasem pozostał jeszcze w Poznaniu, choć

najdalej za dni parę będzie już gdzieś musiał wyjechać koniecznie.

— No, to nie tracę nadziei, że powitamy go we Lwowie.

— Bardzo być może. Lecz nim to nastąpi, zakwateruję się u ciebie. Zgoda?

— Ależ zgoda! zgoda! Z całego serca cię o to proszę i rad ci będę niewymownie. Obawiam się tylko—dodałem zakłopotany—czy w szczupłym moim mieszkanku nie będzie ci za ciasno, bo obecnie mieszka u mnie chwilowo i Grzegorzewski.

— Nie troszcz się o to — odpowiedział.— Umiem się godzić ze wszystkim. Pomieścimy się jakoś.

Mieszkałem wówczas przy ulicy Szerokiej, zwanej dziś ulicą Kopernika, i zajmowałem po studencku jeden mały pokój na parterze, w którym oprócz niewielkiego łóżka, stołu, szafy i kilku krzeseł, oprócz książek i szpargałów — wątpię, czy było co jeszcze.

Nie mogło więc być mowy o wygodach. Ustąpiłem łóżka moim gościom. Sam sypiałem na podłodze i—mówię jak najszczerzej—byłem tem bardzo uszczęśliwiony, że mogłem im wyświadczyć tę drobną przysługę.

Upłynął tak czas jakiś, aż wreszcie po bliższym porozumieniu się z Bełzą—przyjechał istotnie i Ordon. Mieszkaliśmy więc odtąd przez dni kilka czy więcej, we czterech, t. j. ja, Ordon, Bełza i Grzegorzewski. Było nam ciasno—to prawda, ale za to na wesołości i humorze nie zbywało nigdy. Wkrótce

wyprowadził się Grzegorzewski i znów przez czas dłuższy mieszkaliśmy we trzech.

Lecz powróćmy do przyjazdu Ordona.

Oczekiwałem go tedy wraz z Bełzikiem na dworcu kolejowym, jak niedawno jeszcze z kimś innym oczekiwałem tu na niego. I znów nadbiegł wkrótce pociąg i znów wysiadł zeń drugi już z kolei głośny poeta, który podobnie, jak i Bełza, miał zamieszkać we Lwowie.

Nasłuchałem się tyle od Bełzy i od innych o rzekomej brzydocie Ordona, że właśnie może dlatego, gdy go ujrzał po raz pierwszy, wydał mi się o całe niebo piękniejszym, niż go sobie wyobrażałem. Prawda, że był karłego niemal wzrostu, prawda, że w *niektórych* zwłaszcza *chwilach*, twarz jego z profilu przypominała nieco... baranią, prawda, że była cokolwiek piegowatą, ale od tego daleko jeszcze bardzo do tak niesłychanie złośliwego opisu postaci Ordona, jaki znajdujemy np. w pamiętniku: „Stara i Młoda Prassa“, (Petersburg, 1897), w którym powiada autor (str. 45):

„Postawa i fizyognomia Ordona w niczem (?) nie zdradzały poety. Mały, kusy, krępy (?) miał twarz z wyrazem (!) baranim. Czoło w tył cofnięte, duży (?) nos zagięty (?!), usta zmysłowe, pleć piegowata—robiła go brzydkim, choć jak wieść niesła, miał szczęście u kobiet”.

I dodajmy od siebie, szczęście o wiele większe niż np. Bełza, który był przecież co się zowie pięknym młodzieńcem. Musiał więc chyba Ordon posiadać w sobie niezwykły czar jakiś i urok, skoro tak nim podbijał kobiety. A nie był nim zapewne

wdzięk jego postaci. Dbał on wprawdzie o siebie, ubierał się elegancko, nosił długie włosy (iście lwią grzywę), wysokie cylindry, wysokie zawsze... obcasy, trzymał się prosto, sztukował się, słowem, jak mógł, by wydać się tylko nieco wyższym, lecz mimo to wszystko, sam raz słyszałem, gdy szydził z siebie nielitościwie, drwiąc z tych pretensyj do... „nadsztukowania się“...

Pojmował snąć dobrze, że nie wysokością przecie drobnej jego postaci, mierzyć się może duchowa jego wielkość, jeśli aż o niej roił kiedy naprawdę.

I było tak istotnie.

Kto miał tylko sposobność poznać go bliżej—musiał go podziwiać. Wróg nawet ciężki nie mógłby mu zaprzeczyć świetnych zdolności, znakomitego talentu, wymowy, dowcipu. A biada temu, kto przy osobistem z nim zetknięciu się, z jakichkolwiek względów pozwolił go sobie lekceważyć. Gdy zauważył to tylko—stawał się nieubłagany. Puszczał wówczas wodze zjadliwemu swemu dowcipowi i przy każdej sposobności, przeciwnika swego odtąd chłostał niemiłosiernie. Robiło mu to oczywiście, bardzo wielu nieprzyjaciół, lecz mało dbał o to. Jeżeli jednak domniemany jego przeciwnik był jaką powagą naukową czy literacką, wówczas poeta nasz przybierał taktykę, zgoła odmienną; przeciwnika podobnego starał się zwykle olśnić swą wiedzą, kwiecistą swą wymową, subtelnym często dowcipem. Cóż dopiero, gdy zapragnął podobać się kobiecie, gdy zapragnął ją pojąć. A mimo niepowabnej swej powierzchowności, miewał dość często zuchwałe te

chęci i, jak już rzekliśmy wyżej—ogromne szczęście do kobiet. Świadczy o tem między innemi i jeden z drobnych jego utworów, który posiadam w autografie. Pisał go, pomnę, rano, tylko co wróciwszy z jakiejś zabawy, a dał mu tytuł: „Stanze“. Zaledwie jednak rozpoczął ósmą strofę, wpada do nas niespodzianie, (mieszkałem wówczas z samym tylko Ordonem i to już po raz drugi), wracający z tejże zabawy Michał Wołowski, który z nim wówczas w nieszczególnych był stosunkach, a zirytował go w dodatku swem przyjściem nie w porę. Przyjął go więc szorstko. Zaczęli się kłócić. Chciałem ich pogodzić, ale napróżno. Mocno obrażony Wołowski wybiegł co tchu, a Ordon zakławszy go siarczyście, chwycił z gniewem papier, na który już rzucił prześlicznych strof kilka. Wyrwałem mu go z rąk, bo byłem raz świadkiem, jak posprzeczawszy się o coś z Klemensem Kanteckim, podarł w mgnieniu oka to, co napisał przed chwilą. Obawiałem się więc, by tenże sam los nie spotkał i świeżo skreślonej poezji. Obruszył się na to zrazu, ale, że stracił już, jak się wyraził, *wenę* do dokończenia tego wiersza, nie żądał jego zwrotu. Zachowałem go na pamiątkę, tem bardziej, że nigdy już i później nie chciał go dokończyć. Oto tych strof kilka:

Chwaliłaś głosu mego dźwięk i śpiewność,
 Chwaliłaś myśli jasność i dostojność,
 Obrazów żywość, wyobraźni hojność,
 Uśmiech błyszczący, jak słońce, przez rzewność.

I z podziwieniem patrzyłaś mi w lice,
 Gdy wśród harmonii tej dysonans zgrzytnął,

Na twarzy krwawy rumieniec zakwitnął,
Olśniły błękit oczu — błyskawice.

Przestałaś chwalić i teraz drzysz cała;
Czemuś zdziwiona — ja dziwić się muszę!
Czyżeś raz pierwszy, gołąbko, widziała,
Na więzy swoje zbuntowaną duszę?

Kochanko moja! — Jam przy tobie niemy.
Rosnąca miłość mą wymowę zmniejsza,
A dusza moja jest, jak te haremy,
W których sto dziewic, a każda piękniejsza.

Lecz wejścia do nich dniem i nocą strzeże
Czarny niewolnik ze spojrzeniem dzikiem,
I oczom ludzkim widok dziewic bierze:
Dla mnie jest rozum takim niewolnikiem.

Słodczy mojej nie wierz i pokorze,
Węzidło moje gryzę ja ukradkiem,
I Bóg jest tylko tych zapędów świadkiem,
Które ma dusza ledwie wstrzymać może.

Że namiętności są siostrami sobie,
Ta prawda jasno mi się w oczach łąci,
Bo błogosławię i złorzeczę tobie —
Miłość jest moja, siostrą Nienawiści.

Wyciągasz rękę, by ją cofnąć żywo,
Krok postępujesz, cofasz się dwa kroki;
.....
.....

*

*

*

W czasach, gdy po raz drugi mieszkałem
z Ordonem, pędził on niezwykle tryb życia: sypiał

niemał zawsze do godziny pierwszej lub drugiej po południu. Przebudziwszy się czytał, czasem coś pisał lub gawędził ze mną, przed wieczorem zrywał się nagle, mył, czyścił, ubierał, odrzucał w tył z fantazją krucze swe włosy, kładł wysoki cylinder, przypinał do tużurka kwiatek, i z elegancką laseczką w ręku wychodził na spacer, poczem udawał się najczęściej do pani W., lub państwa L. i... nie wracał już stamtąd wcześniej, jak po północy. Przyszedłszy do domu — teraz dopiero zasiadał zwykle do pracy, i w tej głębokiej ciszy nocnej, pisał często bez przerwy do godziny 7-ej lub 8-ej z rana. Powtarzał mi też nieraz, że i jego, jak wielu, nie tak nie usposabia do twórczości i marzeń, jak głęboka cisza nocna, lub jeszcze bardziej przecudne noce letnie, osrebrzone dokoła blaskiem księżyca. Napisał nawet kiedyś śliczny o nich wiersz, zaczynający się od słów:

W księżycową noc przejasną,
Szedłem cichy, sam...

Ilekroć tedy wracał z późnych owych wizyt, (a mieszkalem z nim wówczas od maja do sierpnia r. 1872.go), gawędził zemną zwykle przez czas jakiś znowu i wkrótce potem zapalał swą lampę. Bywało to znakiem, że zamierza zabrać się do pisanja. Aby mu więc nie przeszkadzać, gasilem wówczas *moją* lampę i... starałem się wkrótce zasnąć, albo przynajmniej udawałem, że śpię. Sypialem zaś mniej więcej do godziny 8-ej z rana, t. j. do czasu, w którym najczęściej Ordon zwykł był udawać się na spoczynek.

Otóż raz, a mianowicie 7-go lipca 1872 roku, gdy obudziłem się około 8-ej z rana, spostrzegłem, że Ordon pisze coś jeszcze zawzięcie, a twarz jego zdradza niezwykle jakieś podniecenie i zapal. Poruszyłem się zlekka i spostrzegłem znowu, że w pobliżu mego łóżka leży na podłodze ćwiartka zapisana przez Ordoną, która mu widocznie spadła ze stołu, przepełnionego zwykle pokrywającemi go szpargałami.

Zaciekawiony, co też to nowego pisze Ordon, podjąłem pocichutku kartkę i czytałem:

Tajemny śpiewak wziął strunę gitary
 Najcichszą. Drugą dowiązał do pary,
 Złączył je, musnął, zmącił z struną trzecią,
 Brzękły jak muchy złote — złotą siecią
 Splątane. Naraz padł na wszystkie struny
 I spuścił po nich palce swe skrzydlate,
 Niby sokoły na gołębi stado.
 Melodya lała się dźwięczną kaskadą;
 Wiolin łkał, w basie warczały pioruny.
 Jęki, jak więźnie patrzący przez kratę,
 Coraz swe blade lice wychylały —
 Rósł, rósł do góry, pędził hymn wspaniały,
 Aż odeń piersi instrumentu drżały,
 Niby przed arką harfa Dawidowa;
 Jak głuchoniemy targał się i pieniał
 Hymn ten, aż wreszcie z śpiewem się ożenił.
 I lawą wrzącą wylał się w te słowa:

„Pocałunek jej! ach, starcze, starcze,
 „Pocałunek jej ja dostać muszę!
 „Daję tobie nieśmiertelną duszę
 „Za jej jeden pocałunek, starczel
 „Niechaj duszę na wieczność obarczę,
 „Pocałunek jej, ach, dostać muszę!

„Spada grono, gdy nabierze sokiem,
 „Każdy kwiatek ptasza ssie rozpusta,
 „Wszystką krew mam na ustach potokiem;
 „Usta! usta! daj mi drugie usta!
 „Wciąż ją chwytam słuchem, czuciem, okiem,
 „Starcze, usta, daj mi, drugie usta!

„Zgodził — starzec odpowiada — zgoda;
 „Targ przybity — ja nie będę z głazu;
 „Lecz na mgnienie tylko usta poda —
 „Rozkosz i śmierć wyssiesz z nich odrazu;
 „Dusza dla mnie — tobie rozkosz młoda,
 „Lecz na mgnienie, i padniesz, jak z głazu...

„Pocałunek jej! ach, starcze, starcze,
 „Pocałunek jej ja dostać muszę!
 „Weźmij sobie nieśmiertelną duszę,
 „Za jej jeden pocałunek, starczel
 „Niechaj duszę na wieczność obarczę,
 „Pocałunek jej, ach, dostać muszę”!

Przeczytawszy cały ten ustęp, byłem nim nad wyraz zachwycony. (Nie dziwcie się — liczyłem wówczas lat dwadzieścia parę). A chociaż tu i owdzie zdradzał on pewne naśladownictwo Mickiewicza — nie obchodziło mnie to wcale. Zerwałem się z łóżka, chcąc właśnie wyurzyć mój zachwyt Ordonowi, gdy wtem i on powstał od stołu i odrzucając na bok pióro, zawołał:

— No, chwała Bogu! skończyłem wreszcie!

— Ależ to coś prześlicznego! — wykrzyknąłem z entuzjazmem.

Poeta spojrzał ze zdziwieniem.

— Tylko com odczytał tę oto kartkę! — dodałem, objaśniając i pokazując ją Ordonowi.

— A!... więc czytałeś? Zkądżeś ją wziął?

— Znalazłem tuż przy swem łóżku. Spadła ci ze stołu. A mówię szczerze, że jestem zachwycony. Ale cóż to właściwie jest?

— A cóż ma być, jeśli nie poemat? Poemat z wieków średnich. Dałem mu tytuł: „Pocałunek”, ale go zmienię na „Garbus z Bononii”.

Przyznam się, że wołałem tytuł pierwszy, i że ten drugi nie bardzo mi się wydał estetycznym. Nie zdradziłem się z tem jednak, lecz zapytałem go tylko:

— A więc to się dzieje w Bononii?

— W Bononii.

— Któż jest ten „garbus?” Kto jest ten śpiewak? ten starzec?

— Jeśliś ciekaw na prawdę, to przeczytam ci niektóre ustępy, a inne streszczę, jak najkrócej.

— Bardzo, bardzo cię o to proszę!

— Więc słuchaj. Poprzedzę poemat pewnym nawet komentarzem. Otóż... znałem niegdyś dziewczę pod każdym względem niezwykle. Łączyła mnie z niem przyjaźń, bez cienia nawet zmysłowości, co tem łatwiej mi przychodziło, iż pomimo olbrzymich zalet umysłu i serca — nie należała do pięknych. Była zresztą odemnie o parę lat starsza. Zdolności miała świetne, umysł niezmiernie bystry, wykwintne pocucie piękna, iście zdumiewającą pamięć, a że posiadała przytem wybornie kilka języków obcych — łaciński nawet i grecki — więc umysł ten z chciwością pochłaniał wszystko. Zajmowały ją zarówno odwieczne pergaminowe księgi, jak i wszelkie najnowsze kierunki i prądy naukowe. Bodaj jednak,

czy nie najwięcej miały dla niej uroku, nigdy już niepowrotne owe czasy, czasy świetnych rycerzy, poetów i trubadurów. Nieraz też i nie jedną z tych czasów czytałem z nią księgę, nieraz rozprawiałem z nią o nich gorąco a długo. Nie dziw więc, że i nieraz, pomimo, iż było to niewinne dziewczę, a nie żaden z towarzyszków mych szkolnych, stosunek nasz przypominał—słynną ową przyjaźń Słowackiego ze Spitznaglem...

Uśmiechnąłem się na to nieznacznie, bo porównanie to i przypomnienie, nawet w ustach Ordo-na, wydało mi się nie tylko cokolwiek naciągnięte, ale i bądź co bądź—za śmiałe... Ordon jednak, nie zauważywszy snąć tego, ciągnął dalej:

— Wszak znasz przepiękną „Godzinę myśli” Słowackiego, a w niej ten ustęp:

„ Dziecko z czarnemi oczyma
Młodsze wiekiem, natchnieniem dało myśl skrzydlatą,
I wypadkami myśli żyło w siódmym niebie.
Młodszy marzenia stroił czarnoksiężką szatą,
A potem silną wolą rzucał je przed siebie,
I stawały, i widział przed sobą obrazy,
I przeczuł, że marzeniom da kiedyś wyrazy.
Jego towarzysz, większy nauką i laty,
Nigdy od krain myśli nieodłamał życia,
I nieraz go śmiech ludzi, śmiech co czucia głuszy
Budził i rzeczywistość zimna roztrącała.
Jako posągom braknie nieraz w rysach duszy,
Posągom jego myśli brakowało ciała”.

— Taką też była i ona. Posiadała, jak rzekłem, mnóstwo niezwykłych zalet umysłu i serca, ale...

— Lecz któż to był, na Boga?! — przerwa-

łem. — Powiedz-że mi nareszcie! Umieram z ciekawości...

— Boleję nad tem niewymownie, że muszę się przyczynić do tak niechybnego twego zgonu—zawołał, śmiejąc się — ale mimo to nazwiska ci jej nie wymienię. Dowiedz się tylko, że jest już dziś mężatką, że właśnie w tej chwili bawi z mężem we Lwowie, że za dni kilka opuści go na zawsze, i że na jej to właśnie prośbę napisałem mój poemat i do niej to zwracam pierwszych jego strof kilkanaście:

Oboje dzieci nie naszego wieku,
 Pamiętasz nieraz jakeśmy tonęli
 Nad bohaterską, średniowieczną księgą,
 Porwani ową młodości potęgą,
 Którą ci ludzie zapomniani tchnęli,
 Co duch półboży budziła w człowieku;
 Pamiętasz obłęd Orlanda straszliwy,
 Róg Roncewalski grzmiący w naszym uchu,
 Stół Artusowy w podkowę zagięty.
 Jak w raju zgodę człeka ze zwierzęty,
 W otchłaniach, w niebie i na ziemi dziwy,
 Moc w biodrach ziemi i w ludzkości duchu;
 Olbrzymie zbroje na olbrzymie barki,
 Dziecięce serca pod pancerza stałą,
 Majestat siły nawet w samej zbrodni,
 Motyla skrzydłem czas przebiega szparki,
 Poezya z wiarą nad światem się pałą,
 Niby dwa słońca ciepło i łagodnie,
 Po drogach pełnych przygód niesłychanych
 Trubadur z pieśnią śpieszy się miłością
 Gościnność czeka na ubogich progu,
 Boży cud sobie nie szuka wybranych,
 Ze wzgórzów świętych dumnie w nieba rosną
 Modiltwy z głazu poświęcone Bogu.

Czy czujesz losów tajemną pomrokę?
 Czy przez oprawne w ołowie okienko
 Spostrzegasz profil ascetyczny mnicha?
 W gotyckim tumie, widzisz, jak noc cicha,
 Wisząc w zachwycie pod nawą wysoką,
 Drży ponad lampki iskierką maleńką?
 Ciszej, nie mąćmy snu nieprzespanego
 Tym wiekom ległym w trumnie marmurowej,
 Nad których życiem drży wielkie: Dlaczego?!
 Ten Sfinks i dla nas niemy i surowy —
 Niech spoczywają w swej ciszy grobowej,
 Nad którą niema nic więcej pewnego.
 Opuśćmy groby. Jeżeliś ciekawa
 Ich mowy: nieraz przypadałem wiosną
 Na nie, mych piersi gorącemi tętny...
 Widziałem, jak tam kornie leży Sława.
 I nieraz powieść szeptał mi miłośćną
 Bokacyusz albo Aretin namiętny;
 Powieści owe choć się w grobach lęga,
 Szczebiocą z ptasiej swobody wyrazem
 Nad sarkofagiem i głazów żałobą.
 Żądasz ode mnie jednej z nich? Bóg z tobą!
 Powiem ci, w pamięć chwil spędzonych razem
 Nad bohaterską, średniowieczną księgą.

— A oto początek właściwego poematu:

Niegdyś w Bononii żył młodzian stateczny
 Z dobrego rodu: Allan Amirale,
 Łós-figlarz nie był dlań przychylny wcale:
 Dał mu na plecach — dodatek niegrzeczny...

— Twarz jednak biedny mój Allan ma piękną,
 duszę ognistą, serce głębokich pełne uczuć, wyo-
 braźnię poety, a umysł mędrca. Kocha też wszyst-
 ko, co szlachetne, co wzniosłe, a gra przytem i śpie-
 wa, jak istny trubadur. Mimo to przecież, ilekroć
 się tylko ukaże śród ludzi,

Szyderskie słysząc wołania i śmiechy
 I uszy jego krzyk razi skrzydlaty:
 — „O Święta Maryo! garbaty! garbaty!
 Patrzcie! Ojcowskie ma na plecach grzechy”!

Toż w pięknej duszy młodzieńca osiada
 Hardość ponura, samotna i dzika;
 Wraca...

Jak muszla ranna z bólem się zamyka,
 Lecz uśmiech słodki ma na licu bladym:
 Boleść w nim perłą staje się, nie jadym.
 Jednak wciąż głębszym dzieli się rozbratem
 Z młodością, z życiem, z weselem i światem.

„A im więcej stał cierpi i rozzala się do ludzi,
 z tem większem przejęciem się i zapalem pracuje
 ze „starym“ swym „mistrzem“, zagłębia się w księ-
 gi, pochłania z nich wiedzę,

. i tak młodość ludzi
 Śpiewem, muzyką i mądrością siwą,
 Lecz i w obłokach białych grom się budzi.
 Darń kryje iskrę wulkanu straszliwą,
 A w młodem sercu śpią takie pożary,
 Których nie zgasi święty January!

Raz w dzień niedzielny, gdy lud tłumnie śpieszy
 Do świątyń Pańskich—zdaleka od rzeszy
 Allan, z gorącym ponad księgą czołem,
 Ż nieznana przedtem burzą w głębi łona,
 Czytał królewskie pieśni Salomona ..

Lecz przestał wkrótce—

. bo już dzwony były
 Srebrzystym dźwiękiem, jak śmiechy dziewczęce.
 Skryty za oknem, mdlejący, bez siły,
 Młodzieniec stanął i załamał ręce,

Bezbronny całkiem w nieznaną mu męce,
 Patrzał przed siebie martwy i pochyły
 I porównywał ten swój świat podziemny
 Z tym białym ludem, co szumiąc zapadał,
 Niby gołębi stado... w portyk ciemny...

.

Z świątyni płynąc kadzidła się wiły,
 A organ huczał... a dzwony wciąż biły
 Srebrnymi dźwięki—jak śmiechy dziewczęce...

„Naraz się cały tłum zachwiał i schylił:” środ-
 kiem szła z dumną powagą królowej—Bianka Foscoli.

Ogon jej szaty, jak wąż purpurowy
 W pieszczonych zgięciach zwijał się i pylił
 Prochem posadzki, na schylone głowy;
 Po płytach dźwięcznie tętniały jej kroki,
 Przeszła—i zniknął czar ciszy głębokiej.

A Allan patrzył martwy i pochyły,
 Z gestem modlitwy wyciągając ręce
 I słyszał: w uszach jego dzwony biły
 Srebrnymi dźwięki—jak śmiechy dziewczęce.

.

Odtąd zaległy pyłem księgi stare,
 Marną ich mądrość była dla Allana,
 I mistrz sędziwy ledwo daje wiarę,
 Gdy próżno do drzwi swego ucznia puka.
 On błądzi miastem do zmroku od rana
 Za śladem Bianki—ściga ją i szuka..

Raz wreszcie, zda się, los go szczęściem darzy:
 Gdy późną nocą pod Foscolich murem
 Stoi z wejrzeniem jasnym, to ponurem,
 Skrzypnęła furtka i z uśmiechem w twarzy
 Pełnym tajemnic, wyjrzy niańka stara,
 I w cieniach nocnych zbliża się jak mara.

— Dawna ta niegdyś piastunka i powiernica Bianki postanowiła wraz z dumną swą panią—zażartować z biednego Allana. Uduje tedy wielką dla niego przychylność, zapewnia, że i Bianka podziela jego uczucia i naznacza mu w jej imieniu spotkanie w tejże samej świątyni, w której oszalały z miłości Allan, ujrzał ją po raz pierwszy...

— „Więc jutro w kościele.
Sam się przekonasz”...

— Lecz owo z niewymowną tęsknotą oczekiwane „jutro”—miało być dla Allana ciężkim dniem próby i boleści. Bezlitosna Bianka ujrawszy w przedsiönku kościelnym nieszczęśliwego garbuska, udając, że bierze go za żebraka—dała mu jałmużnę!

Zawrzało w nim wszystko. „Jak potępieniec bluźnił wówczas Bogu“ i szalał strasznie.

Ale słuchaj dalej:

Jest kędyś dziwny rysunek, głęboki,
Piranesego płód mistrzowskiej ręki:
Po smukłej, giętkiej drabinie wysokiej,
Architekt pnie się i na szczebel cienki,
Zda się, ostatni, staje już—bo oto
Przed nim jest przepaść; w głębi cień i błoto;
Lecz spojrzysz wyżej! Tam na ostrym skřęcie
Drabina znowu i architekt na niej
Pnie się, lunatyk, twardo i zacięcie,
Aż znowu zwiśnie nad brzegiem otchłani,
I tak bez końca widza oko ima,
W nieskończoności rozciągnięte sinej
Przepaści głębie i szczeble drabiny,
Aż zawrót schwyci oko i zatrzyma.
Tak myśl Allana po cierpień drabinie

Wstępuje wyżej, wyżej, coraz wyżej,
 Aż nad przepaścią stanie i w niej ginie;
 Lecz osłupiałą ból popędza chyży
 I oświecają błyski piorunowe,
 Wciąż nowe szczeble i przepaści nowel
 A mocniej, niżli wszystkie inne głosy
 Brzmi Allanowi dotychczas nieznana
 Rozkosz, co poi pogańskie niebiosy,
 Myśl zemsty—córa najmilsza szatana,
 Zemsty żądanej — i znów odpychanej!
 Bo w duszy jego cud dziwny się iści:
 Miłość podaje ręce Nienawiści,
 I władzę nad nim biorą na przemiany
 A czasem tak się złączą bratnie szaleń,
 Że dwie te—*jednem* zdają się być ciałem.

.

Czas minął—bozki Czas—ta Lety rzeka,
 Co wolno w otchłań wieczności przecieka.

.

Foscolich pałac cały tonie w mroku,
 Kształt mu olbrzymi nocna daje pora,
 Narożne tylko wysokie okienko,
 Patrzące w ciemne głębiny Jeziora,
 Przepuszcza smugę światła drżącą, cienką,
 I przystęp daje ciekawemu oku.

— W narożnej tej komnatce czuwają dwie kobiety. Jedna — to owa piastunka Bianki; druga

. zsunięta na marmur podłogi,
 W ciemność tonąca źrenicą rozdartą,
 Z głową na tamtej kolanach opartą—

to Bianka; Bianka z „królewskim czołem”, lecz „spojrzeniem gołąbki”, Bianka, której pozostały wprawdzie, dawniejsze wdzięki, lecz w której i śladu już nie masz

dawnej dumy czy pychy, bo oto ją „łamie i zwycięża”... „moc jakaś tajemna”...

I teraz wzniosła niespokojnie głowę
I pochyliła natężone ucho
W przestrzeń za oknem, w ciszę, w ciemność głuchą,
Palec na ustach kładąc w znak milczenia...

Nic!., tylko szemrzą fale lazuruwe,
A na nie śniegiem lecą wpośród cienia
Z drzew obciążonych kwiaty migdałowe,
I motyl stuka w okno do płomienia.
Więc wzrok dziewicy zapalony—gaśnie,
Twarz się ciemnością zawodu powleka
I łez nie może wstrzymać jej powieka.
— „To nie on, szepce, wczoraj miesiąc właśnie,
„Jak tu przypływa i jak stąd ucieka;
„Pieśńbym słyszała—poznam go po pieśni,
„Jak twarz odgadnę, chociaż nie widziała,
„Bo oko jego pewnie, jak pieśń pała.
„To nie on!”

I dłoń spuściła boleśniej,
Jakby nadziei swojej grób grzebała.
„Dziecko! — zawoła nianki głos złamany—
„Na pierś Madonny! To urok być musi.
„Serduszko twoje oblega i kusi
„Rodu ludzkiego nieprzyjaciół znany”.
Tu wystawiła palce dwa przed siebie.
— „Znam wszystkie miejskie rycerze i pany,
„Lecz sam Lucyfer przychodzi do ciebie!
„Bo żadna nigdy nie brzękła gitara,
„Chociażby nawet miała złote struny,
„Jak ta, na której gra ta twoja mara;
„I nigdy pieśni równie słodkie tony
„W noc wielkanocną nie zabrzmiały w niebie—
„O dziecko, szatan przychodzi do ciebie!”

Twarz Bianki ciemnym splonęła rumieńcem.
— „Nie bluźnij, nianko!—zawoła surowo—

„Wszak brałam ciało i krew Chrystusową,
 „Nie jednym ołtarz obdarzyłam wieńcem,
 „Złożyłam grzech mój w spowiednika ucho,
 „I wyszłam biała z ręki spowiednika—
 „A śpiewak okna mego nie unikał
 „Codzień łódź jego do muru dotyka.
 „Przypływa, skoro w domu całym głucho
 „I wrota raju przedemną odmyka.
 „Czy żąda czego?—nigdy się nie zbliża,
 „By go odpędzić — zbyteczny znak krzyża.
 „Zaledwie wszystką krew w mem ciele wzruszy,
 „Zanim zakłęta gitary urokiem
 „Ocknę się, w ciemność rzucę błędnem okiem,
 „Już wiosło pluśnie, jak zbudzona ryba,
 „Smugą się srebrną zmarszczy wodna szyba,
 „I postać jego, jak cień się rozwiała!...
 „O niańko! Szatan żąda tylko duszy,
 „On—nigdy nawet nie zażądał ciała,
 „A jabym duszę z ciałem mu oddała!...”
 — „Jak chcesz, Siniora”—odpowie nieśmiało
 „Niańka”—lecz jeśli to człowiek, jak drugi,
 „I z grzesznej matki wziął, jak inni, ciało,
 „To chyba przyszedł kędyś z drogi długiej,
 „Ze stron dalekich, gdzieś z pogańskiej ziemi,
 „Gdzie ryby cudne, z głowami ludzkimi,
 „W morzu śpiewają—a łoża zielona
 „Rodzi grające, jak kapela, grona,
 „I słodkie brzmienie w powietrzu rozprasza.
 „O! bo pieśń jego—pieśń wcale nie nasza,
 „Chodź słowa nasze. Słyszałam górala
 „Śpiew, co jak wichru jęk słyszy się zdala;
 „W Wenecyi pięknej byłam także z młodu,
 „Znam Barkarolę, co jak gołąb grucha,
 „I w San Gennaro, gnieździe mego rodu,
 „Skocznej kanzonie nadstawiałam ucha,
 „Raz nawet w Świętem mieście, co Bóg zliczy
 „Na odkupienie grzesznej duszy mojej,
 „Z pielgrzymim tłumem u świętych podwoi

„Stałam w kościoła Piotrowego progu,
 „I tam słyszałam potężny i rzewny
 „Śpiew świętych chłopców, poświęconych Bogu,
 „Którzy swym matkom raj kupili pewny.
 „Znana mi nuta nabożna i gminna,
 „Lecz ta pieśń, pani—o, ta pieśń jest inna!
 „Wszystkie w niej nuty grają po kolei,
 „Jak barw siedmioro igra w pasku tęczy,
 „Modli się, grucha i tęskni i jęczy;
 „Jak Mandragory kwiat lub Azalei,
 „Kiedy się dotknie ich nóż ogrodniczy,
 „Płacze; jak zdradny sok z maku nasienia
 „Duszę usypia—a krew rozplomienia,
 „Mnie, starej, nieraz żar sypie do powiek;
 „Jak chcesz, Siniora, lecz to—nie nasz człowiek!
 „Zwyczajów naszych cale nieświadomy;
 „Rycerz, dworzanin, nawet Lewantyniec,
 „Jużby się wkradł był w pałacu dziedziniec,
 „I w rękę moją złożył dar kryjomy:
 „Lecz on!... napróżnom kiedyś czatowała,
 „W tę noc nie przybył—i tyś zakazała”.
 — „Cyt!”... szepnie Bianka, nie tchnąc, drżąc cała.
 Ciska w powietrzu przezrocze wisiała,
 Sad zagłuchł, lampka zgasła, zgęstły cienie!...
 Lekkie eterem naraz wstrząsło drzenie,
 Jak gdyby ducha westchnienie...

Z niekłamanem wzruszeniem i gorączkową niecierpliwością—jak gdybym był sam starą ową nianką czy... Bianką — nasłuchiwałem, azali już rychło pozwoli poeta odezwać się tajemniczemu trubadurowi... Ale oto właśnie Ordon, z coraz to większym zapalem deklamujący pześliczny swój poemat, sięgnął po nową z kolei kartkę rękopisu i zaczął czytać dalej:

Tajemny śpiewak wziął strunę gitary
Najcichszą. Drugą dowiązał do pary,
Złączył je, musnął...

Lecz zaledwie przeczytał parę tych wierszy,
sposstrzegł, że jest to ten sam ustęp, a raczej też
sama kartka, którą niedawno podniosłem z podłogi...

— Ale, prawda! Wszakżeś to sam już czytał!—
zawołał. — Przeczytam ci zatem parę tylko ustępów
no, i całe prawie zakończenie. Słuchaj więc dalej:

Tu pieśń zamilkła; a za jej włókiemko
Bianka słuchem duszy zaczepiona
Budzi się, chwieje, i nagle, szalona
Dźwiga się z ziemi, bieży pod okienko
I woła w przestrzeń ciemną z głębi łona:

— „Ktokolwiek jesteś, wzięłeś mnie dla siebie!
„Patrz! wstyd dziewiczy odzieram i grzebię!..
„Jeśli istota ludzka dzień ci dała,
„Jeśli cię twarda nie zrodziła skała,
„Przybliź się! pragnę, wzywam, wołam ciebie!
„I będę usta twoje całowała,
„Wilgotniej, niżli kwiat jaśminu rosa,
„Goręcej, niżli wiatr południa liście,
„Od ojca silniej; łagodniej, niż matka,
„I w mem objęciu będę cię trzymała
„Dłużej, niżeli tę ziemię niebiosą”...

— „Więc jutro”, z cieniów rzekł głos uroczyście,
„Sama u okna, strzeż się przywieść świadka”!

I brzękło kółko utwierdzone w murze,
Łódź odwiązana drgnęła szybkim zwrotem
I między drzewy po śpiącym lazurze,
Ku miastu pchnęła się jaskółczym lotem,
Znikła, i struny gdzieś jęły srebrzyście.

Młodziutka jeszcze jutrznia złotowłosa
 Pierwsze swe blaski na piewce rzuciła;
 Ta twarz tak piękna, ta postać pochyła,
 I rysy znane i postać gdzieś znana...
 Odrzucił włosy... Tak — to twarz Allana.

On to

. w rozpacz y godzinie
 Zbratał się, nędzny, z czarodziejską mocą,
 Ratunku poszedł szukać na pustynię,
 I tam, burzliwą obłąkany nocą,
 Znalazł, gdzie ustronń samotna i dzika,
 Strasz nego władcę — starca-czarownika.
 On to dał pieśniom jego siłę czaru.
 Lecz strasz ne przy niej postawił zaklęcie:
 — „Kto kocha — dopnie miłości zamiaru,
 „Lecz śmiercią musi zapłacić dopięcie”!...

Tak rzekł czarodziej.

Cóż czeka Allana?

Rozkosz stracona — zaledwie doznana,
 I potępienie...

.
 Och! takich przysług — cena zawsze jedna.

Lecz chociaż bardzo

. zapłacił je drogo,
 Pozyskał Allan marzeń swych ziszczenie.
 Dla niego Bianka. Czemuż zdjęty trwoga?
 Dla niego tylko wzroku jej płomienie,
 Dla niego warg jej miody i purpury,
 Miłość i Rozkosz! Czemu tak ponury?

Och! bo w tej chwili w głębi jego ducha
 Nowe się myśli rodzą, rosną, bfeją!...
 On drżący cały, schyla się i słucha...

Miłość dla niego. O nie! — nie dla niego!
 Zdrada chwycona — obawia się zdrady.
 Dzieńby ją odkrył — zabił księżyc bladyl

.
 Na chwilę błyska mu w duszy myśl mężka:
 — „Odkryć się, zdobyć ją sobie w dzień biały”!
 Lecz wnet przed okiem staje marzeń klęska
 I dzielny zamiar słania się omdlały.
 Ostatni poszept miłości wspaniały
 Milknie. Namietność wstępuje na wały!
 — „Precz z wahaniem! Chwila jeszcze, chwilką!
 „Tak krótka chwilką, jak życie motylka:
 „Już słońce schyla promienistą głowę,
 „Bledną i mierzchną obłoczki różowe,
 „Ach, мгновение tylko, ach! a po tem мгнieniu
 „Wieczność rozkoszy w jednym uściśnieniu!
 „Za cenę życia rozkosz ta kupiona,
 „I wartość swoją musi mi zapłacić!
 „Tyle zyskawszy — możnaz naraz stracić?!
 „Dwa razy żyje, kto całując, kona!
 „Kłęb się ciemności — usta ust nie miną,
 „Gdy się szukają — łono znajdzie łono!
 „Na czyjeż usta strugi lawy spłyną?
 „Dla kogóż błyski oczu jej zapłoną?
 „Kto tonać będzie w wonnym jej warkoczu?
 „Na moje usta, ach! dla moich oczu.
 „To moje usta i oczy utoną”!

Tak mówił Allan, a twarz mu pobladła,
 Wzrok się rozkoszy mgłą wilgotną zmroczył.

Tej nocy były róży zaślubiny
 Z białym narcyzem. Powietrze aż drżało
 Radosną wrzawą kwiecistej drużyny.
 Druchnami były lilie strojne białe,
 Drużbami czarne dwa dziw-tulipany;
 Za niemi orszak sunął nieprzebrany..

Na darń usiadło biesiadników grono
Białym obrusem ze mgły zaścieloną.

Najbliżej młodych malwy się skupiły,
Po nad innemi górujące skronią;
Bezwonne — fiołków pożyczoną wonią,
Pomiędzy bratniem gronem się pyszniły.
Przy nich mimozy, co się ręki chronią;
A nieśmiertelnik wiekami pochyły
I dwa lotosu kwiaty śniące w parce,
Poczesne miejsce wzięły, jako starce.

Nad niemi lśniły się niebieskie gmachy
Ciemne, głębokie, lazuruwe całe;
Jak świecznik blaski siejąc okazałe,
W każdym się krzaczku palił żuczek błahy,
Podczaszym ucztę był motylek biały,
Dzwonki wesóło, jak orkiestra grały
Pod dźwięk ten, pod tą światłością łagodną,
Wydając z siebie szmer, jakby pszczoł roju,
Ci biesiadnicy pili rosę chłodną
Z pełnych kielichów polnego powoju;
Jaśniała radość, huczały wiwaty,
Przyjaźnie z sobą szczebiotały liście,
Aloes, dumnie otwierając kwiaty,
Jak działo trjumfu strzelał uroczyście,
A wokół z trawy patrzył ludek prosty:
Stokroć, ostróżki, nagietki i osty.

Już czas stać łóżę ślubne. Lilje druchny
Kładą posłanie z białej mgły leciuchnej;
Przez tłumy gości z namiętym pośpiechem
Wstydliwą różę wiedzie nowożeniec,
Siostry wskazują sobie jej rumieniec,
Hucznym ich gonią biesiadnicy śmiechem;
Lecz już zniknęli i za niemi wrzawa
Raz buchnie jeszcze i nagle ustawa.
Niebo i ziemia zcichły — bez tchu stały.

Księżyc, co błysnął, ukrył w chmurach lice:
 Jak gdyby sobą zamącić się bały
 Wielką miłości twórczej tajemnicę!

.
 Naraz krzyk jakiś powietrze zamącił,
 Mdleje, zanosi się, szaleje, płonie!
 Takiego więcej niesłyszeć nikomu!
 O domy trąca, echem w miasto goni.
 Czy róża pierwszy jęk rozkoszy roni?
 Czy narcyz może?... To z Foscolich domu..
 A po tym jęku — głębsza jeszcze... cisza,
 I w głęb jeziora ktoś spadł ciężko... głucho
 Z drabinki drżącej, jak skrzydło anioła.
 Nurt się rozłamał, trysły krople hojne
 I łono wody stoi znów spokojne,
 Tylko się gonią coraz szersze koła.
 Tu krzyk — krzyk nowy wpada strzałą w ucho.
 Rozpacz, w nim boleść, trwoga bije falą!
 Na odgłos jego ganki pałacowe
 Stem się pochodni ozywiają, palą,
 Po wodzie suną błyski purpurowe,
 Mur, brzeg i ogród rumieńcem zapłonął,
 Rwie się zbudzone ptactwo wczesną zorzą —
 Stanęli. Sieci pluszczą, nurty orzą.

— „Twarz mi, twarz jego, o! na mękę Bożą,
 „Twarz mi pokażcie!”—głos z okienka błaga,
 „Nigdy nie ujrzeć! Nie, to być nie może!...
 „Nigdy nie poznać!... Sprawiedliwy Boże!
 „Za jakąż winę twoja dłoń mnie smaga?
 „Ty dać nie mogłeś takiego rozkazu!
 „Ach! onby głos mój usłuchał odrazu.
 „Więc wołać będę... Lecz jakże zawołam?!
 „W snach moich jego nie znajdę obrazu,
 „Między duchami poznać go nie zdołam!...
 „Świateł tu! więcej!... Ostrożnie z hakami.
 „Szanujcie ludzie męża mego ciała!
 „Srogi rachunek będę miała z wami

„O krwi kropelkę!... Prędejl!... Co się stało?...
 „Czemu czekacie?... Nieście go łagodnie!..
 „Nieprawdaż? piękny!... Jakżeście szczęśliwi!
 „Wyście twarz jego pierwsi zobaczyli!..
 „Otworzyć bramę!... Przysuńcie pochodnie!
 „Obudźcie ojca! Starzec się zadziwi!..
 „Będziemy troje... razem... wiecznie żyli!
 „Nic już nie widzę! wiatr na światła wionął,
 „Gzemu wracają? Co za gwar zmieszany?...
 „Czekajcie!... Gdzie jest drogi mój! nieznany?!”
 Z dołu odpowiedź głucho brzmi:

— „Utonął”!...

— A cóż się stało z Bianką?! — zawołałem, zrywając się nagle i z takim snać akcentem szczerego zainteresowania się jej losem, że aż ubawiony tem Ordon roześmiał się serdecznie. Po chwili jednak zapytał poważniej:

— No, jakże ci się zdaje?

— Skończyła zapewne samobójstwem lub obłąkaniem.

— Zgadłeś. Zrozpaczona moja *Bianka musiała* stracić zmysły. I na tem to właśnie kończę swój poemat.

Nie przeczuwaliśmy wówczas, że i na tem też skończy nieszczęśliwy jego twórca!..

Wracając do poematu—byłem nim tak oczarowany, olśniony, że zawołałem bez wahania:

— O! omylił się, widzę, tym razem, pocziwy nasz Kraszewski!

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Jakto, co chcę powiedzieć? Czytałeś przecie niezawodnie, co arcy-głęboki ten zresztą znawca talentów, napisał w swym „Tygodniu“ o twych

„Poezyach“¹⁾. Wszak był to prawdziwy hymn uwielbienia, a powiada on w nim także, że poezye two noszą charakter tak skończonego artyzmu, iż wątpi już nawet, abyś mógł w tym kierunku uczynić jeszcze krok jaki naprzód. Coś w tym rodzaju powiada... Z pewnością. Najnowszy twój jednak poemat, to bezwątpienia — prawdziwy krok naprzód w rozwoju twego talentu. Nie bez zasady więc wołam: omylił się Kraszewski!

(Zdanie to chętnie powtórzę i dziś, choć wiem, że zbyt surowa krytyka—mieć może inne. Dla mnie jednak ostatni ten poemat Ordona, ten iście *łabędzi* jego *śpiew*—pozostanie na zawsze prawdziwym jego arcydziełem).

W parę tygodni potem, bo od 1-go już sierpnia, znów zamieszkałem z Bełzą i ze ś. p. Michałem Dzeduszyckim, bratem stryjecznym dobrze znanego Wojciecha. O obu też, jak i o Janie Grzegorzewskim, z którym mieszkalem kilkakroć — wspomnę kiedyś obszerniej. Hr. Wojciech Dzeduszycki szczególnie—wielce oryginalna i ciekawa to postać. A znałem go niegdyś równie dobrze, jak i Michała. Hr. Michał, jako jednoroczny ochotnik służył wówczas w wojsku i równocześnie pisywał pełne humoru kroniki niedzielne do „Gazety Narodowej“, które podznaczał literami *M-ki*. Był nadto krytykiem teatralnym „Dziennika Polskiego“, współpracownikiem „Szczutka“ i kilku pism innych. Zdawało się, że już

¹⁾ „Poezye“ Wł. Ordona. Kraków, 1869.

tą drogą iść będzie zawsze. Z prawdziwą jednak szkodą dla literatury i dziennikarstwa, bardzo tylko rzadko odzywał się później, napisał jeszcze wprowadzie parę komedyj, grywanych z powodzeniem na scenach krakowskiej i lwowskiej, ale zresztą oddał się przedewszystkiem—karyerze urzędniczej. Około jakoś roku 1900, przeniesiono go do Krakowa, na stanowisko dyrektora krakowskiego Okręgu Skarbowego. Odtąd ceniony jeszcze bardziej przez wyższą swą władzę, szanowany przez podwładnych, kochany, jak i dawniej, przez przyjaciół i kolegów—otwartą miał drogę do coraz to większych zaszczytów i dostojęństw. Z ogólnym jednak żalem zmarł nagle w Krakowie, w ostatnich dniach maja 1902 r.

Z nim to tedy i z Bełzą zajmowaliśmy wówczas dość obszerny lokal.

We dwa, mniej więcej, tygodni, od chwili wspólnego naszego zamieszkania, zdarzyło się, iż przyjechał właśnie do Lwowa, głośny wówczas autor „Czarnej Księgi“, „Rosyjskich na Litwie Rządów“ i kilku innych pamiętników, Władysław Czaplicki. Bełza, który znał Czaplickiego oddawna (bo kogo on nie znał lub nie zna?) zaprosił go do nas na dni parę i korzystając z chwilowego pobytu wśród nas autora: „Powieści o Horożanie“, urządził na cześć jego 19 sierpnia 1872 r., bardzo zresztą skromny wieczorek. Przybyło nań jednak niemało naszych kolegów, z którymi podówczas żyliśmy bliżej, a między innymi przybył także i drugi, nie mniej głośny w swym czasie autor pamiętników — Jakób Gordon. Na wieczorku tym tedy znajdowali się, o ile pomnę, oprócz Bełzy, Gordona, Czaplickiego, Dzieduszy-

kiego i mnie:—Władysław Ordon, Aureli Urbański, późniejszy dyrektor teatru poznańskiego A. K. Podwyszyński, art. - drzeworytnik Zenon Szymański, obecny pułkownik austriacki i autor dzieł specjalnych w języku niemieckim, Aleksander Haidecki, Seweryn Zagórski, Ignacy Papara i inni.

Od arcy-ciekawych, a smutnych najczęściej opowiadań i wspomnień, od serdecznej pogawędki i bardzo poważnego zrazu nastroju, przeszliśmy zwolna — jak to zresztą zwykle na podobnych zebraniach—do spraw bieżących, no, i naturalnie znacznie już weselszych. Posypało się teraz mnóstwo dowcipnych uwag, żarcików, porównań, a wszystko to najczęściej improwizowanym na prędko wierszem, czem popisywali się co chwila: Belza, Ordon, Urbański, Dzieduszycki.

Przy każdej podobnej sposobności odżałować nie mogłem zawsze, że nie znałem stenografii, i że dzięki temu, nie byłem w stanie zanotować prawdziwych tych często klejnotów dowcipu i humoru, jakie z królewską nieraz hojnością rozrzucali w koło siebie: Lam, Belza, Ordon, Kazimierz Bartoszewicz, Władysław Sabowski i tylu, tylu innych, z którymi zdarzało mi się bliższe zawiązywać stosunki. Nigdy zaś może nie żałowałem tego bardziej, jak właśnie na pamiętnym onym wieczorku, pamiętnym zwłaszcza dla Ordona i Belzy. Gdybym zdołał być przeczuć na nim, co wkrótce nastąpi, to możebym przecież potrafił jakoś, czy to sam, czy z czyjąś jeszcze pomocą, utrwalić raz na zawsze to wszystko, co w iście prawdziwem natchnieniu wygłosili w nim

wówczas, walczący ze sobą, jak zwykle, obaj ci poeci.

Lecz na nieszczęście nie było między nami ani jednego stenografa, a... o fonografach, to naturalnie i nie marzył nikt jeszcze.

Gdy tedy od lekkiej i wesołej owej szermierki krzyżujących się wciąż ze sobą: zdań, wykrzykników, polemik, aluzji i t. p., przeszliśmy znowu do kwestyj nieco poważniejszych — powstał niebawem Ordon i zaczął najniespodzianie wygłaszać improwizację, której już sam początek zapowiadał wyraźnie, że będzie to rzecz obszerniejsza. Z wielką więc tylko ciekawością *na razie* poczęliśmy jej przysłuchiwać się. Nawpół żartobliwe, nawpół poważne wiersze jej początkowe, przy samym niemal końcu dopiero zmieniły się na prawdziwie wspaniałą i porywającą improwizację. Zasluchani w niej wszyscy, zachwyceni jej treścią, upojeni jej czarem, wzruszeni nią do głębi, zapomnieliśmy o tem, że w jakikolwiek sposób należałoby przecież zachować ją dla przyszłości. Było to zresztą dość trudnem, choćby dlatego, że nim zdołaliśmy ochłonąć z pierwszego wrażenia—powstał znów Belza i w improwizacji, nie tak już może kunsztownej, jak Ordona, ale za to z większym jeszcze od niego zapalem—począł czarować słuchaczy. Zchwycilem wówczas ołówek i ćwiartkę papieru, usiłując coś zanotować. Byłem jednak tem wszystkiem tak mocno wzruszony, że ręka drżała mi, jak w febrze, a łzy cisnęły się do oczu. Niepodobna było pisać.

Improwizator dobiegł tymczasem do końca.

Na to, dotknięty jednym z ustępów improwizacyi Belzy — znów odpowiedział wierszem Ordon. Nowa ta, a ognista jego improwizacya, była tym razem pełną sarkazmu i ironii, wymierzonej głównie przeciw Belzie. Przypominało to pomimowoli—*honny soit qui mal y pense*—słynne walki improwizatorskie Mickiewicza ze Słowackim...

Nie dziw więc, iż byliśmy tak dalece oszołomieni ciąglemi temi niespodziankami, że i teraz jeszcze nie mogliśmy się zdobyć na zanotowanie ani jednej nawet z wygłoszonych dotąd improwizacyi. Przy końcu dopiero trzeciej tej z kolei, szepnąłem do siedzących tuż przy mnie: Czaplickiego, Haideckiego i Podwyszyńskiego, że trzeba przecież jakoś koniecznie, choć to przynajmniej spisać, co obaj poeci improwizować będą teraz, bo zanosilo się wyraźnie na jeszcze gorętszą walkę między nimi. Nie tracąc czasu, umówiliśmy się natychmiast, że każdy z nas będzie tylko notował co czwarty wiersz z kolei t. j., że Czaplicki zaraz od samego początku zanotuje wiersz 1-szy, Haidecki — wiersz 2-gi, Podwyszyński—3-ci, a ja—4-ty, i w tenże sam sposób, aż do końca. Tak się też stało.

Dwie więc ostatnie improwizacye, t. j. czwartą i piątą (nie licząc naturalnie owych humorystycznych, które je znacznie poprzedziły), spisaliśmy dosłownie. Na nieszczęście w dalekich moich wędrówkach po Ameryce Północnej—odpisy tych improwizacyj zginęły mi przed laty. O ile wszakże zdołam postaram się odtworzyć je z pamięci, choć nie ręczę, czy nie opuszczę czegośkolwiek. Wielka jeno szkoda, że po trzydziestu kilku latach nie mogę już sobie

przypomnieć choćby tylko treści—*wszystkich* tych improwizacyj. Dwie te jednak ostatnie *muszą* się u kogoś znajdować w całości. Posiada je najpewniej były profesor gimnazjum przemyskiego i autor kilku rozpraw historycznych, Kazimierz Gorski, a co ważniejsze, posiada on bardzo ciekawy list Belzy, opisujący mu właśnie cały ten wieczór, i o ile pomnę, podający zarazem treść wszystkich owych pięciu improwizacyj. Żałuję, że nie mam dzisiejszego adresu prof. Gorskiego, i że nie mogłem go poprosić o przysłanie tego listu w oryginale lub kopii. Pisał go Belza, jeśli dobrze pamiętam, zaraz najutrz po wygłoszeniu tych improwizacyj. Jedna z nich tedy, t. j. druga z kolei improwizacya Belzy, brzmiała, jak następuje:

„Nie myślę ja, koledzy, iść z bratem o lepsze.
Zanim ciężkie zarzuty pierś inna odeprze,
Choć może słowa moje w pośród was poronię,
Za całość moich zasad wpierw stanę w obronie.
Wiek temu, gdy ojczyznę darto nam na poły,
Zjawiali się z ognistym mieczem archanioły;
W kraju, co się czerwienił morzem krwi oblany,
Byli Bohuszewicze, Korsaki, Rejtany!
Lecz naród, choć łez gorzkich i krwi wylał tyle,
Choć się modlił i płakał—przecież legł w mogile,
Niby bryła do grobu tocząc się pomału!...
Była miłość ojczyzny—nie było zapału!...

.

Potem—godząc się z losem polityk dwulicy,
Wznosił zdrowie ojczyzny; helot—niewolnicy!...

Był listopad... Choć kraj się mrowiem obcych zalał,
Naród na trupie Matki ucztował i szalał.

Plwano w twarz nam, że młodzież ojczyzny nie kocha.

I pytano: zaż Matka to ich, czy Macocha?
 A jednak, kiedy trąbka bojowa zagrzmiała,
 Gdy pierwsze z Belwederu dały hasło działa,
 Gdy serc naszych dobiegły echa bojownicze,
 Wstała młodzież
 A jej miłość ojczyzny na skrzydłach zapалу
 Wzniosła się pod niebiosa w kolos ideału.

O! rzucać nam ten zarzut, żeśmy podli, mali,
 Że się dusza weseli, że się serce pali,
 Że słowo, co narodu duch na skrzydłach niesie,
 Ginie w piersi młodzieży, jak w zamierzczłym lesie,
 Żeśmy już wzięli rozbrat z czynem i ojczyzną.
 Trza być albo -- bez serca, albo—żyć zgnilizną!...

Co mówił dalej — nie pomnę już dziś. Pomnę tylko dobrze, iż ostatnią strofę swej improwizacyi, wygłosił Bełza z nadzwyczajnym już wysiłkiem, i że łkając od płaczu wydał w końcu przerażający jakiś okrzyk, upadł wreszcie i... omdlał.

Rzuciliśmy się doń wszyscy i poczęliśmy go cucić. Na twarz zemdlonego, okrytą śmiertelną bladeścią, wystąpił zimny pot. Miałem już biedz po doktora, bo lękaliśmy się, czy nie wyniknie stąd co gorszego, gdy w kilka chwil potem omdlenie przeszło i poeta powrócił do przytomności. Przykra ta scena, najbardziej oczywiście musiała być przykrą dla Ordona. W kilka też ledwie chwil po ocuceniu Bełzy, rzekł do mnie Ordon półgłosem:

— Bardzo mnie to boli, iż tak źle przez Bełzika zostałem zrozumiany i że za ostre nieco me wyrazy wziął tak gorąco do serca.

Gdy więc po niemiłym tym wypadku uspokoiliśmy się nieco — Ordon zażądał głosu i temi odezwał się słowy:

Nie gniew ze mnie przemawiał, nie szyderstwo chłodne;
Pobudki to i celu, i nas tu niegodne.

W miłości cała gorycz myśli mych zrodzona,
Ściekła kropla za kroplą, jak krew z mego łona.

Któżby śmiał nam zarzucić, że ojczyznę drogą,

My teraz porzucili, gdy niema nikogo?

Któżby śmiał uczuć naszych instynktowną siłę,

Posądzać, i co święte, że nam już niemiłe

Powiadać?... My dotychczas niewinni i czyści,

Od tej zdrady. Ja wierzę, że duszą ogniści,

.

.

Lecz uczucie to tylko siejba przyszłych czynów;

Ojczyzna niema nad nas—bardziej wiernych synów;

Ja wierzę temu silnie, chociaż nasza ręka,

Co ni rany, ni ciężkich bólów się nie lęka,

Nie spróbowała owej przestodkiej rozkoszy,

.

Z nas bowiem, któż krwi kroplę wylał dla ojczyzny?

Nie wielu tu!—nie szczycą nas te świetne blizny!

.

.

.

.

Lecz później, później o bracia! przyjdzie świat się pytać:

Czem słońce odrodzenia możemy powitać?

Co przynosim? gdzie idziem? jaka myśl tej ziemi?..

Wówczas —staniemy, jak niemi!..

Wszyscy kraj nasz kochamy, lecz drogi różnemi
 Chcemy okazać miłość dla tej świętej ziemi.
 Matka nasza Ojczyzna jest niewiasta chora,
 Która szle dwoje dzieciak po lek do znachora;
 Jedno chce krótszej drogi—drugie dłuższą bierze,
 Lecz pewniejszą. Oboje drżą o Matkę szczerze.
 Lecz dłuższa owa droga wnet lepszą się staje;
 Dziecięciu w krótszej drodze cel blizki się zdaje.
 Siada więc, zrywa kwiatki, za motylkiem goni,
 Lub słucha, jak koniki ćwierkają po błoni.
 Drugie dziecię, nie ufne, bo ma dłuższą drogę
 Wciąż sobie słowo: „Naprzód!” daje jak przestrozę.
 Oboje wrócić może... wrócić na czas jeszcze.
 Lecz jedno kwiatków tylko zniesie wonne deszcze
 I rzuci je pod stopy matce konającej,
 Drugie przyniesie wody—z mąk uzdrawiającej.

Bądź co bądź jednak przyznać potrzeba, że
 improwizacye Ordonu rzadko kiedy dorównywały
 iście skończonej nieraz doskonałości poezyj jego
pisanych. Tu tylko był on częstokroć *mistrzem*, co
 się zowie, choć nie brak było i takich, którzy nie
 wahali się go nazywać — „*sztukmistrem*“ jedynie!
 „*Mówią żem sztukmistrz!*—woła on z goryczą
 w jednym z przepięknych swych wierszy:—

Mówią, żem sztukmistrz! Że w błyskotki słowa
 Odziewam myśli i puszczam do ludzi,
 Że ducha mego cisza lazuruwa,
 Żadną się walką wewnętrzną nie utrudzi;
 Że kiedy z piersi mej wyrwą się lotne
 Pieśni i płyną w harmonijnym śpiewie,

To we mnie czucia nie drżą tak samotne,
Jak po odlocie ptaków—liść na drzewie.

Mówią, żem sztukmistrz!... Dąbrowo, dąbrowo!
Czy nie mówiłaś ty do mnie od rana?
Czy dębów starców rzesza rozsziemrana
Duszy mi tajną nie mąciła mową?
Gdy pól na wiosnę — grało młode tętno,
Gdy Czerwiec czesał gwiazdom złote włosy...
Gdy wichur zimą śpiewał pieśń namiętną,
Czym was nie słuchał—ziemio i niebiosy?!

.

Nigdy Cię Panie, nie widział oczyma...
Lecz przyjdźcie Twoje znam po wielkiej trwodze,
Wiem, że złość ludzka przeczy Twojej drodze.
Żeś jest, gdzie oczom ludzkim Ciebie niema:
I dziś choć z szaty kapłańskiej odarty:
Choć jad zwątpienia zemdlił moje serce,
Czuję Cię nawet w tej myśli rozterce,
I Twojej ręki chwytam się uparty.

Napróżno! Świat mi w oczach się odmienia,
Upadek w myślach, w uczuciach posucha!
Z gorączką sięgam w skarbiec mego ducha...
Rozpaczył! Nie mam ni światła, ni cienia,
Dziecka, ni kwiatu—hymnu, ni westchnienia!

Lecz stój! Nie tryumfuj aniele zwątpienia!

Odślonię okno... Ciężką głowę złożę:
I myśleć będę o śmierci, o życiu,
O tobie ziemio, i o Tobie Boże:
O zgonie liści i kwiatów rozwiciu,
O białym śniegu, który krew wylaną
Kryje, nie dając pyłu poniewierce,
O tej, co tchnęła pulsów moich biciu
Siłę nieznana, i rozkosz nieznana,

O dniach ubiegłych i—znów jutro rano
Będę miał pieśni nowych pełne serce!

Tak—słusznie powiedziano o Ordonie: „Ordon—to młode orle z szeroko rozwianemi skrzydłami, patrzący wprost w słońce i słonecznemi blaski zdołbiący swoje poezye.

W utworach jego uderza zawsze niezwykła siła wysłowienia, męskość, język bogaty w kunsztowne zwroty, myśl zawsze niepospolita. Wszelką mamy nadzieję, że Ordon w przyszłości, jeśli nie pierwsze, to niezawodnie pierwszorzędne miejsce zajmie w literaturze naszej ¹⁾.

O! straszliwa ironio losu!...

I pomyśleć tylko, że dusza tak wysoce niegdyś poetyczna, że człowiek tak ogromnego niegdyś talentu, w chwili, gdy kreślimy te słowa, zapomniany i opuszczony przez wszystkich—dogorywa od lat wielu w szpitalu obłąkanych, że niema już dziś nawet ani iskiereki pamięci o świetnej swej przeszłości!...

I pomyśleć tylko o tem!...

Posłuchajcie jeszcze co opowiada o najsmutniejszej tej właśnie epoce jego życia i o czasach najwcześniejszej jego młodości ś. p. Michał Wołowski, który go znał od dzieciństwa:

„Dziwnemi były losy tego człowieka - poety, którego mam zamiar przypomnieć czytelnikom, a dziwniejszym jeszcze koniec jego pieśni życia, tak świet-

¹⁾ „Dziennik literacki“ lwowski, Nr. 30 z roku 1870-go w korespondencji z Poznania.

nie rozpoczętej, rozzdźwiękiem przerwanej i na nowo nawiązać się nie mogącej.

„Pamięć moja o Władysławie Szancerze, używającym niegdyś pseudonimu Władysława Ordon, sięga jeszcze dzieciństwa, t. j. tej chwili, gdy za ladą cukierni Malczykowskiego w Płocku uwijał się mały, jak ja, chłopczyzna i podawał gościom czekoladę lub ciastka.

„Był to mały brunecik, z noskiem przypominającym nieco semickie pochodzenie, o oku żywym i bystrem, zręczny, fertyczny i dowcipny wielce w odpowiedziach, a zawsze pełen zdumiewających na swój wiek obserwacyj.

„Ś. p. Józef Narzyski, uderzony tak niezwykle zdolnościami młodego chłopca, wyciągnął go z cukierni i zajął się jego przyszłością.

„W kilka lat potem znaleźliśmy się z Ordonem w trzeciej klasie gimnazjum płockiego, gdzie opiekowali się nim Karscy i gdzie z dwoma chłopcami tej rodziny, Adolfem i Włodzimierzem, mieszkał wspólnie na stancyi.

„Tu już pisywał wiersze i piękne ćwiczenia, które nań zwracały uwagę profesorów.

„Później przeniosłem się do innego gimnazjum i na długo straciłem Ordon z oczu.

„Spotkaliśmy się znów w szkole i w redakcyi „Kuryera Codziennego“, gdzie za czasów Karola Kucza pisywał wiersze i artykuł.

„Jego“ Loterya oddeklamowana przez Królikowskiego na koncercie studenckim, zrobiła furorę, jak niemniej „Na strażnicy“, wiersz, specjalnie na cześć straży ogniowej napisany.

„Odtąd rozrywano sobie jego utwory poetyczne, w których tkwił zawsze zapal młodzieńczy, myś głęboka i przepiękna forma.

„W parę lat później Ordon przeniósł się do Lwowa, gdzie tłómaczył Musseta, Heinego, Hamerlinga i sam niemało pięknych rzeczy stworzył.

„Ciekawy o losy towarzysza młodości i wielu chwil późniejszych, pytałem o niego, będąc niedawno we Lwowie. Ale pomimo, że Ordonu znano niegdyś powszechnie, nie umiano mi o nim nic więcej powiedzieć, jak tylko to, że dostał pomieszania zmysłów i że go odwieziono do domu obłąkanych w Kulparkowie, pod Lwowem. Wielu nawet utrzymywało, że umarł już dawno.

„Postanowiłem więc odwiedzić ów dom, nad którego drzwiami położyłoby należało dantejski napis: *„Lasciate ogni speranza“*.

„Wrażeniami, jakie odniosłem przy zwiedzaniu tej instytucji, podzielę się z czytelnikami innym razem. Dziś zajmuje mnie tylko Ordon, którego wśród obłąkańców szukałem, i którego—dzięki uprzejmości jednego z lekarzy—odnalazłem nakoniec.

„Siedział w kącieku obszernego pokoju, odziany w burego koloru kaftan szpitalny, z rękami założonemi na piersiach, poruszając ustami.

„Doktor objaśnił mnie, że to sala inteligencji, a jednak na żadnej z tych twarzy inteligencji dopatrzyć się nie mogłem.

„Ciemność—wszędzie ciemność.

„Przystąpiłem do mego przyjaciela z lat dziecięcych, wyciągnąłem do niego ręce i zawołałem serdecznie:

— „Władku!

„Głowę wprawdzie ku mnie zwrócił, ustami poruszył, ale z jego oczu myśli żadnej wyczytać nie mogłem.

„Krucze kędziory, które tak często z pewnem lwiem zacięciem odrzucał na tył głowy — uciekły gdzieś z jego czaszki, dziś łysej, bez jednego nawet włoska! Oczy czarne zbladły zupełnie, a cała postać jego drobna skurczyła się i zmalala bardziej jeszcze. Rzekłbyś: myśl, uciekając z ciała, zabrała wszystką jego siłę.

— „Władku! Czy mnie sobie nie przypominasz? To ja, Michał...

— „Michaś—powtórzył doktor.

— „Michaś?... pamiętam, ale nic więcej nie było, nic... komary tu gryzą... trzeba papierosa... daj papierosa!...

„Podalem mu, naturalnie, tytunierkę, wziął z niej wszystkie papierosy, odłożył je na bok i szepnął:

— „Nie mam nigdy papierosów, a komary gryzą...

„Żadnych innych potrzeb niema, niczego nie pragnie, o niczem nie myśli...

„Takim mi się wydał ten młody, a głośny niegdyś poeta, który żyje nie żyjąc, a o którym zapomnieli ludzie.

„Jego piosnka—przeżyła go jednak.

„Pragnąłbym, aby ten nieszczęśliwy, miał przynajmniej zawsze... papierosy”... ¹⁾.

¹⁾ „Poeta zapomniany“ przez Michała Wołowskiego, „Kurier Warsz.“ Nr. 338 z r. 1892-go.

Tyle z ciekawych wspomnień Wołowskiego.

Co do mnie, mógłbym tu także nie jedno jeszcze powiedzieć o Ordonie, gdyż znacznie dopiero później od chwili wygłoszenia opisanych improwizacji—pożegnałem go na zawsze. Byłyby to nawet fakty dla niejednego może zajmujące, ale, że dotyczą one przede wszystkim własnej mojej osoby, więc ani wątpić, iż stokroć uczynię lepiej, gdy skończę tylko na tem, co powiedziałem dotychczas..

K O N I E C.



WYCIĄG Z KATALOGU „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH”.

Do nabycia w Administracyi „BIBLIOTEKI DZIEŁ
WYBOROWYCH” (Warszawa, Sienna Nr. 2) i we
wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1910.

Tom.		CENA	
		w opr. brosz.	
		kop.	kop.
620, 621.	Kazimierz Przerwa-Tetmajer. ZATRA- CENIE. Romans	1.50	1.20
622, 623.	Ludwik Jenike. ZE WSPOMNIEŃ	1.10	80
624, 625.	Wincenty Kosiakiewicz. JEJ CHŁOP- CY. Powieść	1.10	80
626, 627, 629. 631 637, 638.	PAMIĘTNIKI JANA DUKLANA OCHOCKIEGO	3.30	2.40
68,2	Juljusz Zeyer. KRÓL MENKERA. Tłóma- czyła z czeskiego Julja Kreczyńska	55	40
630.	M. Jackiw. WIECZORNE PSOTY. Nowele ukraińskie	55	40
632, 633.	W. Tan. OFIARY SMOKA. Romans z życia pierwotnego ludzkości	1.10	80

Tom.		CENA	
		w opr. brosz	
		kop.	kop.
634.	Wacław Abramowski, inżynier. LATAWCE (Aeroplany)	75	—
635.	Prof. Dr. Marcin Ernst. O KOŃCU ŚWIATA I KOMETACH.	55	40
636.	H. Bosma. DZIECI NERWOWE. Uwagi lekarskie, wychowawcze i ogólne. Przełożył Dr. Kazimierz Niedzielski.	55	40
639.	Cecylla Walewska. JAK LIŚĆ ODERWANY OD DRZEWA. Powieść	55	40
640, 641, 642, 643, 644.	Teodor Jeske - Choiński. OSTATNI RZYMIANIE. Powieść	2.75	2.00
—,	— M. Rakowska. ZARYS LITERATURY ANGIELSKIEJ	—	—
645.	Eliza Orzeszkowa. ASCETKA. Powieść	55	40

Dostawcy Dworu



Jego Cesarskiej Mości

SKŁAD WIN J. LIJEWSKI i S-ka

w Warszawie, Krak.-Przedm. Nr. 8.

Firma istnieje od r. 1874.

POLECA:

Stare **wina Węgierskie, Francuskie** oraz wszelkie inne zagraniczne dla Chorych i Rekonwalescentów, nagrodzone **medalem złotym** na wystawie w Paryżu 1900 r. **Wina Mszalne**, których przysięgłym dostawcą firma w r. 1883 mianowaną została w cenach:

Krymskie na szczepach Węg. but.	70 k.
Francuskie Barsac.	: . „ 1 r. — „
Węgierskie mszalne	: . „ 1 „ 15 „

Wyższe gatunki win tak w butelkach, jak i w beczkach podług specjalnych cenników, które na żądanie natychmiast wysyłamy.

Przy składzie win

Pierwszorzędna Restauracja,

ciesząca się od lat dawnych wielkiem uznaniem a ostatnio nagrodzona na wystawach w Warszawie i w Rosyi medalem złotym oraz dypl. honorowym.

Tow. Akc.

„FR. KARPÍŃSKI W WARSZAWIE”

Elektoralna 35 Tel. 600.

Poleca

KARPÍŃSKIEGO MYDŁO ALKALICZNE

do mycia twarzy u osób z cerą tłustą, połyskującą, skłoną do wągrów i pryszcz, oraz przy łuszczeniu się skóry.

Cena kop. 40 za szt.

W wypadkach uporczywszych używać należy

KARPÍŃSKIEGO MYDŁA ALKALICZNEGO № 2

Cena kop. 50 za szt.

KARPÍŃSKIEGO MYDŁO OGÓRKOWE

hygieniczne, usuwające opaleniznę i piegi.

Cena kop. 40 za szt.

KARPÍŃSKIEGO MYDŁO NEUTRALNE

znakomity środek do pielęgnowania twarzy, rąk, oraz ciała u dzieci.

Cena kop. 40 za szt.

Żądać wszędzie.

WARSZAWA

KRAKOWSKIE Przed. 55.

SZWAJCARSKIE
BLUZKI ODPASOWANE
HAFTOWANE.

PŁÓCIENKA, DRELISZKI, ZEFIRY.
MATERIAŁY NA UBRANIA MĘSKIE I DZIE-
CINNE W NOWYCH WIĄZANIACH.

ARTYKUŁY KĄPIELOWE.
NOWOŚCI NA DERKI
LETNIE DLA KONI

GŁÓWNY SKŁAD
ŻYRARDOWSKI

TELEF. Nr. 404.

Zdrowie jest najcenniejszym skarbem dla wszystkich!

ŚLYNNA W CAŁYM ŚWIECIE

HERBATA Z GÓR HARCU

(Dr Lauer's Harzer Gebirgstee). Zalecana przez najślynniejsze powagi lekarskie zatwierdzona przez Departament Medyczny przy Ministerjum Spraw Wewnętrznych w Petersburgu, jest jednym z najniezbędniejszych środków do utrzymania zdrowia. Napój ten przyjmowany w ilości 2—3-ch filiżanek tygodniowo, leczy wyrzuty, liszaje, uderzenia krwi do głowy, hemoroidy, reumatyzm, atretyzm, cierpienia żołądka i t. p. przywraca apetyt, prawidłowe trawienie. Działa skutecznie w wypadkach zapalenia płuc, influenzy, cholery.

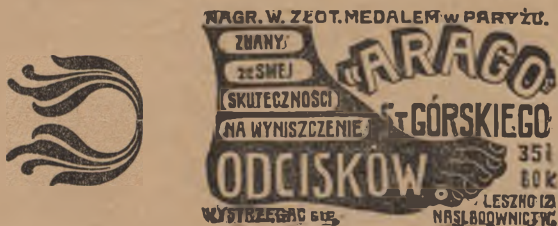
Cena pudełka Rub. 1, pół pudełka 50 kop.

UWAGA. Każde oryginalne pudełko zaopatrzone następującą etykietą: Reprezentant na Królestwo Polskie i Cesarstwo

JÓZEF GROSSMAN

Warszawa, Śliska 33a, Kantor i skład w podwórzu. Tel. 184-44

Zamiejscowym wysyłam za zaliczeniem od 1 rubla z doliczeniem kosztów przesyłki podług taksy pocztowej. Wystrzegać się falsyfikatów.



Najstarsze
Pismo
Polskie

„Gazeta Warszawska“

Założona
w 1774 r.

odnowiona przez zlanie się z dotychczasowym Głosem Warszawskim daje możliwie pełny wyraz polityki narodowej życia polskiego i myśli polskiej we wszystkich dziedzinach. ¶

GAZETA WARSZAWSKA kosztuje:

W Warszawie	rocznie	rb. 9.60.	Na Prowincyi	12,—	Za granicą	18.—
„	półrocznie	rb. 4.80	„	6.—	„	9.—
„	kwartalnie	rb. 2.40	„	3.—	„	4.50
„	miesięcznie	rb.—.80	„	1.—	„	1.50

Za odnośnienie do domu 5 kop. miesięcznie. Zmiana adresu k. 20
Cena numeru pojedynczego kop. 3.

Adres Redakcyi: **Warszawa, Plac Warecki 2.** Adres dla listów
Warszawa Gazeta Warszawska, skrzynka poczt. 257.

Administracya „Gazety Warszawskiej”, Szpitalna 14. Telefon redakcyi 88, administracyi 25-51.

**Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu**

CM 313518



000-313518-00-0